MACIEJ WIERZBIŃSKI

IDEA NIEMIECKA A POLACY

NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ - - WARSZAWA - - WILNO

IDEA NIEMIECKA A POLACY

MACIEJ WIERZBIŃSKI

IDEA NIEMIECKA A POLACY

Rotgier pomyślał, że w głowach krzyżackich więcej jest obrotności i rozumu jak w polskich, i że to plemię zawsze będzie łupem i karmią Zakonu, równie jak mucha bywa łupem i karmią pająka.
Sienkiewicz

NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ - - WARSZAWA - - WILNO

WIELKIEMU POLAKOWI

IGNACEMU PADEREWSKIEMU

W DOWÓD GŁĘBOKIEJ CZCI I UWIELBIENIA
POŚWIĘCA TĘ PRACĘ

AUTOR.

CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA

Uwaga od autora.

Fala wypadków wojennych przeszła ponad tą pracą, skreśloną potajemnie przed argusowem okiem władz i czuwającej nade mną policji pruskiej.

Niejedno przeto jest w niej przedawnione, nieaktualne, niejednemu zaprzeczyły wydarzenia, a mianowicie nieprzewidziany upadek Rosji.

Mimo to nie podejmuję żadnych zmian w tekscie. Niech praca ta pozostanie odbiciem ówczesnej chwili, pasmem uwag, z których może da się wyłuskać ziarna.

Maciej Wierzbiński.

Poznań, dn. 11 listopada 1918.

Der Polenanspruch auf die Wiederherstellung ihres Reiches hat vor Europa keinen Bestand. *Bismarck.*

* * *

Wir können den Rhein nicht halten, wenn wir Polen im Rücken haben. *Bismarck.*

* * *

Das preussische Polen ist ein Lebensorgan, ohne das der preussische Staatskörper nicht lange bestehen könnte. *Gneisenau.*

* * *

Prusy, mocarstwo przedsiębiorcze i zachłanne, jest powołane koniecznością dziejową i rasowym fatalizmem do przeciwstawienia idei słowiańskiej — ideę germańską.

Klaczko.

* * *

Odrodzenie Polski, wystąpienie jej na nowo w roli czynnika politycznego byłoby tamą podboju niemieckiego na wschodzie i podcięciem panującej roli, jaką Prusy odgrywają w Rzeszy Niemieckiej. To też *polityka pruska rozumie, że między nią a Polakami niema kompromisu.*

Dmowski.

* * *

Prusy — odkąd były w rękach kasty junkierskiej (zawsze!) — były złym sąsiadem, aroganckim, groźliwym, na żelazie wspartym i łamiącym bezczelnie traktaty stosownie do swej potrzeby — sąsiadem wydzierającym jeden szmat pięknej ziemi po drugim słabszym sąsiadom — sąsiadem, czatującym z kołczanem zaczepnemi strzałami wyładowanym, każdej chwili gotowym do ujawnienia swego pogotowia rabunkowego. Prusy były w Europie zawsze niemiłym, pokój zakłócającym sąsiadem. Tym, co żyją od nich w odległości tysiąca mil, trudno zrozumieć, co to znaczy dla tych, co żyją od nich o miedzę... Triumf Prus doprowadziłby ludzkość do tego, że ugrzęzłaby beznadziejnie w bagnie. Dlatego to od początku wojny jeden tylko jedyny cel miałem na oku, t. j. wybawienie ludzkości od tej najokropniejszej katastrofy, jaka kiedykolwiek zagrażała jej rozwojowi.

Lloyd George.

Uwagi wstępne.

Pewien zaściankowy Polonus, zjawiwszy się w mieście czasu wojny, dostał się w koło znajomych, gdzie rozbierając wypadki bieżących dni historycznych, zagadnięto przybysza:

— Jaką pan ma orjentację?

— Orjen...tację? Mam żonę Konstancję a nie jakąś Orjentację. O takiej świętej nie słyszałem.

Uśmiano się kosztem prostaka i poczęto go oświecać:

— Hm, jakby to panu wyjaśnić, co to orjentacja... Otóż gdyby postawiono przed panem Moskala i Niemca do wyboru, po której stanąłby pan stronie?

— Co za pytanie, mospanie?! — zawołał przybysz ze Smorgonji. — Toż dobyłbym szabli i chwast jednego, chlast drugiego i kwita.

Anegdota ta obiega w tej chwili szerokie koła i ów Polonus zyskuje oklaski. Na krótkiem toporzysku ubił całą sprawę, rozciął węzeł gordyjski jednem, a raczej dwoma cięciami praojcowskiej karabeli. Kwestja, nad którą tylu

a tylu łamie sobie głowę, okazała się tak przedziwnie prostą jak w bajce.

Ale niestety życie nie jest ani bajką ani anegdotą i domaga się od nas jasnej, kategorycznej odpowiedzi na kwestję, w której obliczu postawiła naród polski, i nie tylko naród polski, wojna.

Snać kwestja trudna, bo nigdzie bodaj, w żadnym narodzie nie panuje taki zupełny chaos w zapatrywaniach, nadziejach i dążnościach, przez wojnę tę wywołanych, jak u nas. Nigdzie nie biją w oczy takie krzyczące sprzeczności.

Byłoby inaczej, gdyby prostaczy ów asan z anegdoty, z którego pośmiewają się kulturalni, był typem przeciętnego Polaka w tych czasach wojennych. Nie ma on wprawdzie żadnej orjentacji, ale natomiast zachował niezbędną busolę: niespaczony, zdrowy i krzepki instynkt narodowy. Dzięki temu stanął od razu na stanowisku ogólno-polskiem, patrjotycznem. Góruje przeto nad rzeszą pospolitych zjadaczy chleba, dla których alfą i omegą jest ich osobisty interes, oraz nad zastępami pseudo-inteligencji, głów apolitycznych, co zrazu wobec zawieruchy wojennej całkiem bezradni i niezdolni do samodzielnego objęcia okiem całokształtu rzeczy polskich, uczepili się orjentacji, wypływającej z ciasnej sfery interesów dzielnicowych, albo stanęli po stronie mocarstw w ich przekonaniu zwyciężających. Prostak ten może nauczyć się jeszcze wiele, wyrobić sobie pogląd

jasny na sprawę polską i wejść na drogę politycznego myślenia. Abstrahuje bowiem od siebie i nie pragnie, aby Polska przystosowała się do niego, więc góruje także nad wielu mężami, narzucającymi się na ojców ojczyzny.

Świeci ogniem nieszlifowanego brylantu w tym chaosie poglądów i pragnień, rozdzierających naród polski.

W Galicji Polacy denuncjują władzom austrjackim Polaków podejrzanych o sympatje rosyjskie. Stoją oni mocno na gruncie austrjackim a jeszcze więcej na gruncie pruskim, bo otóż miasto stołeczne Kraków iluminuje na cześć króla hakatystów, tego samego monarchy, który burmistrzowi śląskiemu zalecał harap jako najlepszy środek rządzenia Polakami. W te oświetlone szyby grodu wawelskiego tyle a tyle tysięcy i miljonów Polaków w myślach swych ciskało kamieniami bolesnego oburzenia. Zapewne strzelaliby do nich legjoniści, mężną polską piersią osłaniający tyły rejterujących Austrjaków, jako do wrogów »sprzymierzeńca«, którego wojska wybawiły Kraków od najazdu rosyjskiego. Zapewne. Przecież pewien wybitny literat i legjonista chciał na polskiej ziemi Krakowa aresztować rodaka, wygłaszającego zdanie przeciwne jego zapatrywaniom, i stawał w obronie... Prusaków.

Warszawa świstała radośnie za Kozakami uchodzącymi przed Prusakami, co wchodzili od innej rogatki, a Poznań marzył o chwili, gdy będzie mógł powitać tychże Kozaków jako wy-

bawców. Jednocześnie podnosił się nad Wartą głos z grona wielkich obszarników, twierdzący, że najlepiej służy sprawie polskiej, kto przelewa krew za króla pruskiego.

Niejeden polityk wygrażał Rosji za jej zachłanność w stosunku do Lwowa i ziem ruskich, chociaż nie protestował przeciwko robocie wszechniemieckiej na Rusi i wygrywaniu Rusinów przeciwko Polakom przez Wiedeń. Nie protestował. On nawet na rzecz tychże żywiołów w Prusiech wyrzeka się ziemi wielkopolskiej, tłumacząc, że »i tak zniemczona«. Tak orzekł typowy Galicjanin, sam zniemczony, bo austrjacką głową myślący. A pewien hałaśliwy donkichot, manją polityczną dotknięty, a późniejszy członek Rady Stanu, w altruizmie swym zabiegał nawet około dobra pruskiego, sądząc, że »i Prusacy mają prawo do życia«, więc nie powinniśmy rościć sobie pretensji do zaboru pruskiego, lecz wydać go na pożarcie czarnemu orłowi.

W Królestwie niejeden poważny ziemianin oddaje się złudzeniu, że »z Niemcami dałoby się jednak pracować korzystnie na polu gospodarczem i ekonomicznem«. Żwirówki i koleje w Niemczech tak głębokie na wielu obywatelach w Królestwie zrobiły wrażenie, iż zdają się sądzić, że należy stanąć po stronie tych »kulturalniejszych«, co lepsze budują koleje. A mogliby zaiste powiedzieć sobie, że po pierwsze Niemcy jeszcze nigdy nie budowali dla Polaków kolei (które zresztą w danym razie mogli-

byśmy bodaj stworzyć sami), a po drugie, że orjentację polityczną należałoby chyba na trochę szerszych i głębszych oprzeć podstawach. Tym zwolennikom »zachodniej« czyli poprostu niemieckiej kultury przeciwiają się inni, którzy trwałe rządy Prus w Warszawie uważaliby za początek końca Polski.

Te niesłychane rozbieżności i sprzeczności w poglądach, nadziejach i dążnościach naszych sprawiają, że we Francji i w Anglji wręcz nie wie świat polityczny, jak określić stanowisko narodu polskiego wobec wojny. To zrozumiałe. Jeżeli wszakże robią tam narodowi polskiemu z tego zarzut, to niesłusznie, gdyż Europa ponosi znaczną odpowiedzialność za ten stan rzeczy. Nie zapobiegła bowiem rozbiorom Polski, lecz przeciwnie podpisała je na kongresie wiedeńskim, a w tych rozbiorach leży przyczyna rozłamu pojęciowego w narodzie polskim.

Wojna zastała nas rozdartych na trzy części, z których każda istniała w odmiennych warunkach i wpływach. Zastała trzy różne typy Polaka, z których jeden nie rozumie drugiego. Chociaż spajają nas tak potężne węzły jak język, tradycje, kultura i wspólna miłość jednej sprawy, okazało się, że silniejszym nad to wszystko czynnikiem zespalającym jest państwowość.

Nie brak w naszej galerji politycznej żadnego typu; mamy polityków myślących głową austrjacką, niemiecką, rosyjską i polską, słyszymy o orjentacji austrjackiej, niemieckiej i ro-

syjskiej. Mamy zwolenników bierności, neutralności i apostołów akcji po stronie mocarstw centralnych. Przeszli oni z bagażami do obozu germańskiego i zaangażowali się przeciwko Rosji. Do tych zaliczyć trzeba również t. zw. niepodległościowców, co głosząc na platformach warszawsko-niemieckich, iż »Rosja jest największym wrogiem Polski« pracują pour le roi de Prusse i pod jego wyraźną protekcją. Tymczasem inni zwrócili oblicze w stronę koalicji i Rosji.

Wszyscy ci Polacy, na tak rozbieżnych stojący stanowiskach, dzielą się ściśle biorąc, na dwie kategorje: na tych, co nie znają Niemców i na tych, co ich znają.

Poznaj Niemca! — wydaje mi się nakazem absolutnie niezbędnym dla każdego Polaka — tem niezbędniejszym, że jedna tylko orjentacja jest dopuszczalną politycznie: orjentacja niemiecka i anti-niemiecka.

Austro-Węgry bowiem wypadają całkiem z obrachunków i spekulacji politycznych, a Rosja schodzi w nich na plan drugi.

To należy uzasadnić.

Od chwili, gdy Austro-Węgry wbrew radom Beusta wyrzekły się odwetu za Sadowę i stanowiska swego w Rzeszy niemieckiej, a zwłaszcza, gdy w myśl Andrassego przyjęły iście Bismarckowski prezent w postaci Bośnji i Hercegowiny, skazały się na zależność od Berlina, bez którego poparcia dyplomatycznego nie

byłyby mogły istnieć, wplątane na terenie bałkańskim w wieczysty konflikt z Rosją.

Zależność ta, spychająca Austro-Węgry na szczebel państwa drugorzędnego, pogłębiała się skutkiem wygodnego niedołęstwa cesarza austrjackiego i stała się niejako uświęconym aktem, osłoniętym zręcznie przez cesarza Wilhelma pozorami przywiązania niemal synowskiego.

Klaczko twierdzi, że »wszyscy kierownicy polityki pruskiej mieli zdawna dla Austrji dwie dusze w piersiach, z których jedna żywiła prawie religijny szacunek dla starego i dostojnego rodu Habsburgów, a druga pchała ich do podbicia i ograbienia tegoż domu«. Cześć parwenjuszów z Zollern dla monarchów o świetnych tradycjach nie wykluczała i nie tłumiła wrodzonej im zaborczości i popędu do grabieży.

Tak samo postępował cesarz niemiecki. Całował ręce sędziwego monarchy, grał na czułej strunie następcy tronu, podbijał uprzejmością morganatyczną jego małżonkę a jednocześnie trzymał Austro-Węgry w pętach coraz większej zawisłości i — za pomocą agitacji pangermańskiej robił nad Dunajem moralne zdobycze i usuwał grunt z pod nóg Habsburgów.

Zależność Wiednia od Berlina stała się w okresie przedwojennym tak wielką, jak silnym był sojusz austro-węgiersko-niemiecki, myrrą i kadzidłem prasy berlińskiej owiany. Cicho i posłusznie stały Austro-Węgry jedne obok Niemiec na kongresie w Algeciras i wiedeńskie Koło polskie tak, jak Niemcy nad-

dunajscy głosili, iż sojusz ten jest państwową koniecznością. Niewolniczy ten postronek zamanifestował się krzycząco w ultimatum wystosowanem do Serbji, jak stwierdzono, przez Berlin suflerowanem i piętno elaboratu pruskiego noszącem. Stała się rzecz, obnażająca wiernopoddańczy stosunek Wiednia do Berlina. Uchodziło za pewnik niewzruszony, że póki życia cesarza Franciszka Józefa, Austro-Węgry nie uwikłają się w żadną wojnę, tymczasem sędziwy monarcha ukoronował swe o sześćdziesiąt i kilka lat dla Austrji za długie rządy, popchnąwszy monarchję w najstraszniejszą z wojen, na krawędź przepaści — na komendę Berlina.

Od takiej zawisłości do połączenia się w jedno ciało państwowe krok tylko jeden. Jakoż już na początku wojny odzywały się w Niemczech i Austrji głosy za trwałym związkiem prawnopaństwowym tych dwóch państw »w celu wzajemnego zabezpieczenia się przed nową napaścią zawistnych sąsiadów«. Przewidzieć było można, że zwycięskie Niemcy uzależnią od siebie Austrję nie tylko jeszcze więcej faktycznie, ale i formalnie w ten lub ów sposób, że zniosą granice celne i przykują Austro-Węgry do siebie żelazem takiego traktatu odpornozaczepnego, takiego »Schutz- und Trutz-Bündnis«, który oddałby buławę austro-węgierską cesarzowi niemieckiemu i panowanie jego rozprzestrzenił hen po za Trjest i Adrjatyk.

Że zwycięskie Prusy mogłyby uskutecznić to bez przeszkody, nie ulegało już wówczas wątpliwości, a tem mniej po dwu latach wojny, gdy Niemcy ratując bezsilne Austro-Węgry od nieuniknionego pogromu rosyjskiego, zdobyły sobie dwukrotnie poważny tytuł do ...posłuszeństwa. Za ogromne swe usługi wystawiłyby oczywiście Wiedniowi swój rachunek w chwili stosownej i wręczyły go na ostrzu bagneta. A Niemcy naddunajscy wyszliby na spotkanie Prusaków z chorągwiami dalej aniżeli na pół drogi. Od szeregu lat już poczytywali oni cesarza Wilhelma za swego istotnego monarchę i ku niemu zwracali tęskne spojrzenia. Przez połączenie z Rzeszą niemczyzna, zresztą aureolą zwycięstwa nad światem otoczona, zyskałaby niezmiernie na znaczeniu i siłach w łonie monarchji Habsburgskiej, otrzymałaby znów absolutną hegemonję nad Słowianami i z pomocą Berlina zepchnęła ich na to stanowisko, jakie w stosunku do żywiołu germańskiego zajmować powinni, zgodnie z dawnemi tradycjami teutońskiemi.

Nie przeszkodziłyby w tem wszystkiem Niemcom Węgry, tak dominujący mający głos w sprawach monarchji austrjackiej. Naród węgierski, tak jak Żydzi, nienawidzący wszystkich a głównie Słowian i tak jak Żydzi hołdujący zasadom hakatystycznym, jedynie dla Prus żywił uczucia przychylne. Od Berlina zaznawał kiedyś poparcia w swych antiaustrjackich poczynaniach, Berlin przyczyniał się do wzmo-

żenia ich wpływów nad Dunajem, a z drugiej strony polityka berlińska w stosunku do Austrji właśnie w Budapeszcie znajdowała silne i trwałe poparcie. Węgry zatem ponoszą w znacznej mierze odpowiedzialność za to, że Austrja i dynastja Habsburgów poszli w służbę Berlina i Hohenzollernów. Węgrzy i cesarz Franciszek Józef.

Takie drugo- czy trzeciorzędne mocarstwo niemal lennicze jak Austro-Węgry, podpierane w toku wojny orężem niemieckim, ratowane od klęski i zagłady nie mogłoby zaprawdę, gdyby nawet chciało, sprzeciwić się przytwierdzeniu do rydwanu zwycięskiej Rzeszy. Jest także całkiem niemożliwem, aby mogło ono odegrać ważniejszą rolę przy rozwiązaniu sprawy polskiej.

Gdyby Habsburg miał rościć sobie pewne do takiej roli pretensje, odpowiedziałby mu Hohenzollern słusznie, iż Polska to nie austrjacka zdobycz. Im większem byłoby zwycięstwo Niemiec, tem mniej liczyłyby się one z życzeniami Austrji. A gdyby nawet z jakich głębiej leżących motywów Berlin zrobił w tej sprawie niejakie pozorne ustępstwa na rzecz Wiednia, to jednak nikt inny, tylko Prusy panowałyby nad Warszawą, gdyż przedmurze polskie zbyt ważną jest dla Prus placówką, by miały tam wyrzekać się swych wpływów lekkomyślnie, wypuszczać cugle z ręki i zapoznawać swe żywotne interesy nad Wisłą. O to chyba nikt Prusaków nie posądzi.

Wprawdzie dzisiaj niektórzy austrjaccy i węgierscy politycy zabierają głos w kwestji polskiej, uchylają lubo trwożliwie rąbek na swe życzenia, jednakże nie wprowadzi to nas w błąd i nie skłoni do naiwnego przypuszczenia, jakoby Austro-Węgry mogły mieć ważny głos w sprawie ostatecznego ukształtowania rzeczy polskich na końcu zwycięskiej dla Niemiec wojny. Straciły one resztę swych nikłych wpływów mocarstwowych w Europie i stosownie do tego jeszcze więcej zmalały w oczach Niemiec, w których pojęciu są teraz czemś wiele mniej wartościowem od Bawarji, bo niedołężnym, kłopotliwym i wrogów przysparzającym balastem.

Jeżeli przeto jest mowa o tem jak mocarstwa centralne pragną czy mogą rozstrzygnąć sprawę polską w końcu zwycięskiej dla siebie wojny, to zamiast »mocarstwa centralne«, powiedzmy Prusy lub Niemcy, gdyż upraszcza to zagadnienie. Wprawdzie »orjentacja austrjacka« brzmi w uszach wielu Polaków przyjemniej i lepiej aniżeli ordynarnie »orjentacja niemiecka«, lecz należy stawić rzecz jasno i na właściwym gruncie.

Jakżeż można budować nadzieje polskie na anemicznej, przez Niemcy na nogach utrzymywanej monarchji austro-węgierskiej!

Zdawałoby się, że w zapatrywaniach na potencję i stanowisko mocarstwowe Austro-Węgier nie może być dwóch zdań, a jednak Galicja przypięła losy Polski do fałdy bankruta i służalca Prus. Snać panował tam język pol-

ski, ale duch i patrjotyzm austrjacki, który w chwili epokowej zagórował nad polskością. Utożsamiając jedno z drugiem, Galicja ze swego dzielnicowego stanowiska pragnęła uczynić estradę ogólno-polską, Koło polskie w Wiedniu posunęło się nawet tak daleko, że ośmieliło się uzurpować sobie rolę przedstawicielstwa całej Polski. A patrjotyzm polski młodzieży, pokierowany przez austrjackie głowy urzędników galicyjskich i przez romantyzm polityczny zbiegów z Królestwa, chroniczną nienawiścią do Rosji oszołomionych, spłynął w kanał austro-niemieckich interesów. Składając przysięgę na wierność cesarzowi austrjackiemu, a służąc poprostu sprawie cesarza niemieckiego, młodzież ta oddawała się złudzeniu, iż walczy o wolność Polski.

Jeśli za wyraz psychologji galicyjskiej możemy uważać broszurę prof. M. Straszewskiego: »Die Polnische Frage«, to pojmujemy jaką metodą doszła Galicja do swej germanofilskiej orjentacji t. j. wygodną metodą konsekwentnego zapominania o tem, czem były i są Prusy i Prusacy. Historyk krakowski wyświęca Austrję, której cesarz wolałby być »sługą Niemców niż królem Słowian«, na kapłankę idei jagiellońskiej oraz napiętnowuje »mongolski system niwelacyjny« Rosji, nic nam nie mówiąc, co ten system zniwelował, a natomiast nie wie nic o tych ogromnych przestrzeniach zachodnio-słowiańskich, które doszczętnie padły ofiarą zachłanności germańskiej.

Trzeba umieć o tem zapomnieć, trzeba nie znać Niemców i idei germańskiej i trzeba nie myśleć kategorjami politycznemi, aby pisać się na orjentację austrjacką.

Niedopuszczalną jest także orjentacja rosyjska i antyrosyjska.

Kto odpowiada dziś na zagadnienie: za, czy przeciw Rosji? zajmuje się kwestją nie kardynalną, lecz drugoplanową, której nie stawia nam realne położenie rzeczy i przesuwa punkt ciężkości wojny na pole niewłaściwe.

W polityce jak w życiu należy odróżniać sprawy mniej ważne od ważnych i nie wysuwać pierwszych przed drugie. A tak postępuje ten, kto wpierw rozważa stosunek nasz do Rosji i na nim opiera swoją orjentację.

Wojna toczy się przeciwko Niemcom i niemczyźnie, od wyniku jej dla Niemiec zależy wynik jej dla wszystkich innych narodów i orjentacja narodów wypływa ze stanowiska ich do Niemiec. Nie możemy stanowić wyjątku i stawiać kwestji inaczej.

Gdyby koalicja i gdyby Niemcy zwróciły się do nas, zwróciłyby się z jednem i tem samem zagadnieniem: jakiem jest stanowisko Polaków do Niemiec?

Więc nie czas teraz na porachunek nasz z Rosją, na obnażanie ran nahajką jej zadanych. Chwila na to niestosowna; nie chodzi teraz o Rosję, lecz o Niemcy, o zabicie hydry mili-

taryzmu, więc odkładając te porachunki na później, mówimy sobie: nieprzyjaciel naszego największego nieprzyjaciela nie jest teraz naszym nieprzyjacielem. I zwracamy oczy na tego największego nieprzyjaciela.

I.

Niebezpieczeństwo niemieckie.

Z trzech krótko po sobie następujących wojen zwycięskich wyłoniło się cesarstwo niemieckie. Podniosło miecz wielkie, w ambicję i dumę wzbite imperjum pod hegemonją Prus, które od wieków, a zwłaszcza od elektora wielkiego uzbrojone od stóp do głów, na orężu przyszłość opierające i przez powodzenie w maksymie swej państwowej znakomicie utwierdzone, narzuciło monarchji swoją politykę i swój charakter.

Aureola zwycięstw, ogromne korzyści materjalne, płynące na całe Niemcy z ich wielkomocarstwowego stanowiska w świecie i wreszcie odnośne zabiegi Berlina podbiły i sprusaczyły południowe i zachodnie Niemcy. Władza książąt Rzeszy była całkiem iluzoryczną, a ciała ustawodawcze z nieodpowiedzialnemi przed narodem ministrami, którzy byli tylko »sługami cesarza«, nie wywierały wpływu na bieg i kierunek spraw niemieckich. Absolutyzm panował na całej linji, »w Niemczech wstydliwie, w Prusiech bezwstydnie« (jak mówi pewien pisarz

niemiecki) — a zatem duch Krzyżaków i wstecznych junkrów pruskich, uosobiony w postaci monarchy, który mógł istotnie w przystępie beztaktownej szczerości napisać w księdze gości sejmu monachijskiego jak roi-soleil, Ludwik XIV: l' état c' est moi, zwłaszcza, że był i czuł się słońcem Niemiec.

Pod berłem autokraty-nerwowca o kameleonowych właściwościach, monarchy płytkiego umysłu a znaczną fosforescensją mózgową, obdarzonego i niezmiernie zarozumiałego, niebezpieczeństwo niemieckie, które od roku 1871 zawisło nad Francją, rozprzestrzeniało się na świat cały w dwojakiej występując postaci: kupca i żołnierza, i wreszcie przybrało rozmiary najokropniejszego niebezpieczeństwa, jakie kiedykolwiek zagrażało ludzkości.

Wyrastało ono przedewszystkiem z podłoża wzmagającej się szybko i wszechstronnie potęgi materjalnej: z wielkiej siły rozrodczej plemienia tego, z ogromnego rozkwitu handlu i przemysłu, z bezmiarów majątku narodowego — z owego »splendid materialism«, co owładnął ludźmi i państwem i zespolił wszystkie czynniki — nie wyłączając socjalistów niemieckich — w żywiołowej żądzy złota i mocy.

Liczba mieszkańców Niemiec wzrastała corocznie o 800 tysięcy głów i doszła do 67 miljonów. Już skutkiem takiego przyrostu ludności Francja ze swemi 40 miljonami, zagrożona ubytkiem ludności, musiała wyrzec się i wyrzekła snów o odwecie za Sedan, które po

r. 1871 podniecały do zbrojeń naród w swej dumie narodowej dotknięty.

Miljony pracowitych i zabiegliwych Niemców, stawiwszy sobie hasło: »wszechświat jest naszem polem działania«, wszczęły podbój wszelkich rynków handlowych, wyciągnęły rękę po wszystkie skarby ziemi, goniły za zyskiem po globie ziemskim. I tak dochody z ceł, wynoszące w r. 1870 $76^3/_4$ miljonów marek, doszły w r. 1898 do $505^1/_2$ miljonów. W końcu zeszłego stulecia ogólny obrót towarów między Rzeszą a zagranicą wynosił w handlu cząstkowym olbrzymią sumę 10 152 miljonów marek. Jakżeż wobec tego musiał przedstawiać się obrót w handlu wewnętrznym, czysto niemieckim? Jeśli pierwsza pozycja przechodziła kwotę 10 miljardów, to druga wyraziłaby się chyba w 500 czy nawet w 1000 miljardów, gdyby dało się ją oznaczyć ściśle. W ostatnich latach przed r. 1910, jak pisze prof. Dade, wartość niemieckiego wewozu i wywozu wzmogła się z 6 miljardów na $14^1/_2$ czy nawet 16. A w roku 1912 import i eksport osięgnął w przybliżeniu wartość 20 miljardów.

Niemcy przestały być krajem wyłącznie kontynentalnym. W r. 1870 marynarka handlowa liczyła zaledwie 147 statków o pojemności 81 994 ton, a w myśl cesarza, co okrzyknął, że »przyszłość Niemiec leży na wodach«, w roku 1897 pojemność statków niemieckich wynosiła 889 969 ton. W ciągu lat dwudziestu marynarka kupiecka powiększyła się o 250% i za-

jęła drugie miejsce w świecie. Takie cyfry spotykamy w statystyce we wszystkich innych dziedzinach.

Nie było zakątka na świecie, gdzie nie wkraczałby niemiecki towar, niemiecki kapitał i niemiecki pionier. I tak n. p. przez lat pięć (1895—1900) wywóz niemiecki do Szwajcarji wzrósł o 40%, z 243 miljonów na 350. Nawet w takiej Gwatemali pracuje dla Niemców 700 miljonów ich kapitałów, w naszym Borysławiu, jak słyszałem na miejscu w r. 1907, umieścili oni 30 miljonów. Po Argentynie i Brazylji, miejscami całkiem przez Niemców opanowanej, rozlewają się kapitały i wpływy germańskie, z Australji i innych dzierżaw angielskich wypierali oni systematycznie i szybko handel londyński. Turcja, której Bismarck nie chciał znać wcale, stała się po prostu posesją niemiecką pod literalnie każdym względem. Przez lat trzy (od 1890 do 1893) import niemiecki do państwa otomańskiego wzrósł ze 6 miljonów na 49 miljonów. Tych kilka liczb ilustruje dostatecznie ekspansję handlu niemieckiego.

Majątek narodowy rósł z szybkością niesłychaną. W Prusiech samych ludność corocznie wzbogacała się w latach od 1892 do 1905 o dwa miljardy marek. Śladem tego szła zwyżka w płacy robotniczej, zmniejszenie się bezrobocia i emigracji. Jakoż w r. 1908 tylko 20 tysięcy Niemców opuściło kraj, gdy w tym samym roku W. Brytanja straciła 336 tysięcy

osób. W państwowych kolejach krajowych tkwił w r. 1908 w Prusiech kapitału 9 888 miljonów, a w r. 1911 — 11 656 miljonów. Ilość dróg żelaznych zwiększała się w odpowiednim stosunku do rozkwitu handlu, przemysłu i całego narodu. W r. 1870 posiadały Niemcy zaledwie 20 tysięcy kilometrów dróg żelaznych a w lat 32 z górą 51 tysięcy kilometrów kolei szerokotorowych i 1879 kilometrów kolei wąskotorowych. Na uregulowanie rzek i budowę kanałów wydały Niemcy od r. 1880 przez lat 22 niemniej jak półtora miljarda marek. Koroną zaś ich przedsiębiorczości w tym kierunku był bezcennej dla państwa wartości kanał, łączący Bałtyk z morzem Północnem.

»Dochody ludności niemieckiej — pisał dzisiejszy wicekanclerz dr. Karl Helfferich — wynoszą obecnie 43 miljardy rocznie, a około 1895 wynosiły 23 do 25 miljardów. Z tego 8 do 8½ miljarda przyrasta corocznie do majątku narodowego, który wyraża się dzisiaj w sumie z górą 300 miljardów t. j. w sumie, która przez lat kilkanaście wezbrała o — sto miljardów.«

Lapidarne te cyfry dają bodaj dostateczne wyobrażenie o przeogromnym rozkwicie potęgi materjalnej Niemiec.

Wpłynęło to na zmianę fizjonomji Niemców niezmiernie. Z pokornego Michałka przeobraził się naród cały w magnackiego dorobkiewicza, świadomego swej siły, pełnego inicjatywy, rozmachu i buty. Szczęście promieniowało z oblicza zbiorowych Niemiec i — przerażało widzów.

Niemcy posiadały przed wojną wszystko, czego, rozsądnie biorąc, pragnąć mogły. Zajmowały w koncercie mocarstw stanowisko pierwszorzędne, uprzywilejowane, zapewniające im dalsze jeszcze korzyści ekonomiczne. Wspięły się na świecznik, gdzie bez dobycia szabli mogły z całą swobodą rozwijać się wszechstronnie, w granicach trzeźwym rozumem oznaczonych. Miały na ziemi miejsce iście królewskie, więc — jak orzekł Kronprinz na początku wojny — zapotrzebowały koniecznie »miejsca na słońcu«...

Na słońcu? Dla takiego mglistego frazesu leje się dziś strumieniami krew niemiecka?... To znaczy, że Niemcy posiadają wprawdzie wcale nie ostatnie stanowisko na świecie, ale — nie wyłączne, jak to należy się wybranemu przez Boga narodowi.

Wielkość oszołomiła ich jak wino, wytrąciła z równowagi. »Hochmut kommt vor dem Fall; quem deus perdere vult — demendat.« Rozkołysane, może na nutę cesarskiej »pieśni do Egiru«, Niemcy dały się owładnąć przez krwawy, karkołomny, szalony sen o dominium mundi.

Bogactwa, deszczem złotym spadające na kraj dawniej biedny, wyrodziły w nim nie tyle nowe, ile niezdrowe i wybujałe ambicje i pozwoliły Niemcom pofolgować wrodzonym skłonnościom, umożliwiły najwyższy rozwój militaryzmu, rdzennie pruskiego, jaki w następstwie wytwarzał na kontynencie duszny, elektrycz-

nością nasiąkły stan t. zw. zbrojnego pokoju, pochłaniający corocznie niemniej jak ośm miljardów marek i absorbujący ogromne zasoby energji ludzkiej.

Pod naciskiem tej namiętności pruskiej Europa zamieniła się w wielką zbrojownię, uginającą się pod ciężarami podatkowemi, gdzie panowało nerwowe napięcie stosunków międzypaństwowych.

Daremnie broniła się Europa przed wybujałościami tego ducha pruskiego na dwóch kongresach pokojowych, daremnie niezrażona tem Anglja starała się na drodze dyplomatycznej przez szereg lat, aż do wojny, pohamować Niemcy i powstrzymać od nieustannego powiększania marynarki. Ci sami ministrowie: Asquith, Grey i Churchill, jakich dzisiaj Niemcy piętnują jako sprawców wojny, jakich in effigie kamienują, wieszają na szubienicach jako zbrodniarzy — z podziwu godną wytrwałością usiłowali położyć kres gorączkowemu zbrojeniu oraz nawiązać z Niemcami stosunki przyjazne.

Wprawdzie cesarz Wilhelm odgrywał między innemi także rolę księcia pokoju, miał nawet z tego tytułu podobno pretensje do nagrody Nobla, ale nie przestawał faworyzować Tirpitzów, pobrzękiwać szablą i rozniecać imperjalistyczne instynkty, coraz większą falą wzbierające w piersi »nasyconej« przez chwilę po Sedanie ale wiecznie głodnej Germanji. Któż zliczy wszystkie gromkie występy Wilhelma II, którego słowa były ewangelją, były drogo-

wskazem dla wiernopoddańczych, w serwilizmie wyniańczonych rzesz? Nie było śniadania lub biesiady w kasynie oficerskiem, gdzie nie byłby on wniósł z sobą tonu modnej »Schneidigkeit«, pruskiego chwacko-wyzywającego zacięcia, nie palnął mówki na nutę fanfary wojennej. Weszło to w obyczaj, było czemś czysto pruskiem. Cała osobistość i osobowość cesarza, w którego ciągle wlepione były oczy ogółu niby w pierwowzór i uosobienie typowe niemieckości, tchnęła wojowniczością i wydzielała zapach dymu armatniego.

Akordy cesarskiej elokwencji rozlegały się także na szerokiej arenie. Pamiętnem jest pożegnanie wojsk wyjeżdżających z Bremerhafen na »karną« wyprawę do Chin. Wówczas Wilhelm II zalecał żołnierzom swym bezlitośne postępowanie, któreby daleki Wschód przez lat tysiąc strachem panicznym przejmowało, nakazywał »niedawanie pardonu«. Jakoż żołnierze niemieccy w listach swych do kraju chwalili się czynami krzyżackiemi, jakie nawet obojętna na ból i krzywdę obcą opinja niemiecka ochrzciła mianem: Hunnenbriefe. Jak bóg wojny monarcha wzywał do mordów. Zastanowiło to Europę jako charakterystyczny wyraz ducha pruskiego.

Przy innej okazji zalecał cesarz »wyostrzony pałasz« jako najpewniejszy środek zapewnienia pokoju, będącego przejrzystym parawanem instynktów i rojeń zaborczych przez cały ten przedwojenny okres czasu. A po wyborach

r. 1907 wyrzekł on słowa, które dreszczem przeszyły Europę. »Wszystko, co stanie nam na drodze, na śmierć stratujemy kopytami!« — zapowiedział wszystkim »książę pokoju«.

Taką samą pozę przybierał cesarzewicz i na tej samej strunie grali ci, co w jego imieniu przemawiali do narodu. Ośmielił się on z loży parlamentu zamanifestować swe veto przeciwko podówczas pokojowej polityce w sprawie Agadiru, którą kamaryla wojenna chciała zużytkować do wywołania wojny. Wsławił się w pewnych kołach depeszą gratulacyjną do znienawidzonego przez Alzatczyków pułkownika w Saverne a swych huzarów gdańskich żegnał mówką jakby do ataku wzywającą, bezprzykładną w swej wojowniczości. Kronprinz, którego ekstrakt rozumu politycznego i militarnego skreślił się w tak pięknej dewizie: »immer feste druff!«, wyrósł na słomianego męża stronnictwa wojny, co wreszcie ujarzmiło kanclerza i cesarza i rozpaliło pożogę wojenną.

W tym samym kierunku postępowali kanclerz Bülow i Beethmann Hollweg. Zasłaniając się maską, nucąc o utrwaleniu pokoju, stawiali wnioski o powiększenie armji i marynarki oraz etatu odnośnych ministerjów, i wzdrygali się przed współpracą, zmierzającą praktycznie do okiełznania militaryzmu i wprowadzenia Europy na tory pacyfizmu.

Na kongresach pokojowych w Hadze jedno tylko mocarstwo zasadniczo i nieugięcie sprzeciwiało się iście pokojowym dążeniom świata

cywilizowanego — Niemcy. W r. 1899 opozycja przedstawiciela Niemiec generała von Schwarzhofa byłaby niemal doprowadziła do zerwania kongresu, który skutkiem stanowiska przez Berlin zajętego, spełzł na niczem. A prof. Zorn, znany u nas dzięki swej antypolskiej rozprawie, tłumaczył, że wnioski zalecające ustanowienie sądów rozjemczych »nie odpowiadają tradycjom polityki Bismarcka«. Na konferencji w r. 1907 z powodu stanowczego veto Niemiec nie przyszło wcale do debat na temat rozbrojenia. I tak raz jeszcze Niemcy położyli się kamieniem na drodze rozwojowej ludzkości.

Dostatecznie maluje politykę niemiecką fakt, że na kongresy te wysłano z Berlina radykalnych, głośnych antagonistów pacyfizmu a zasłużonych w oczach rządu apostołów zaborczości i pruskiej maksymy państwowej. Demaskowali oni tam wojownicze oblicze prusko-niemieckie tak, iż przedstawiciele innych mocarstw nie mogli nie unieść z sobą przestrogi przed okutemi w stal Niemcami.

Mimo to pienili się Niemcy z gniewu na króla Edwarda VII za to, że logiczny wyciągając wniosek z postępowania dyplomacji i nastroju Niemiec, wywiódł W. Brytanję z niebezpiecznego »splendid isolation« i doprowadził do porozumienia mocarstw, oskrzydlających Niemcy. Zamiast oddawać się bezsilnej furji, można było snadnie, jeszcze w r. 1911, akcję tę obalić i całej polityce międzypaństwowej inny nadać cha-

rakter, gdyż Anglja jeszcze wówczas wyciągała rękę do ugody. Sir Edward Grey orzekł, że uwzględni każdy krok Niemiec, znamionujący chęć poprawienia stosunków niemiecko-angielskich i zapewnił Berlin, iż istniejące porozumienia między Anglją a Francją i Rosją nie stanowią żadnej przeszkody do zawiązania jeszcze innych przyjaznych stosunków. Trudno zaiste iść dalej w zakusach o ugodę z Niemcami. I trudno zrozumieć, że Niemcy, ciągnące tak olbrzymie korzyści z W. Brytanji, operujące miljardami w kolonjach angielskich i w Albjonie samym, nie uznały porozumienia takiego za całkiem zgodne ze swemi interesami.

Że Europa poczyna otwierać oczy, że zdaje sobie poniekąd sprawę z niebezpieczeństwa niemieckiego, musiały Niemcy zrozumieć po konferencji w Algeciras.

Sprawa Agadiru w r. 1904. wywołana przez instynkty zaborcze i wybujałe ambicje Niemiec, zrazu przyniosła pewien triumf dyplomacji berlińskiej, ale zakończyła się znamienną jej przegraną.

Udało się kanclerzowi Bülowowi zmusić Francję do tego, że wzięła pod uwagę »zignorowane interesy niemieckie w Maroku« i okazała się skłonną do przyznania Niemcom szmatu ziemi afrykańskiej. Jednakże Niemcy upierały się przy rozstrzygnięciu tej kwestji na konferencji mocarstw, licząc na to, że upokorzą Francję, zerwą węzły francusko-angielskie, wyrugują wszechmocne wpływy francuskie w Ma-

roku i zapewnią sobie tam rynek zbytu oraz znaczniejsze nabytki terytorjalne. Zuchwale rzuciły się w tę sprawę, wysuwając nawet na widownię osobę cesarza, — wysełającego do Tangeru z komplementami dla sułtana marokańskiego.

Rzecz stanęła na ostrzu miecza. Kanclerz niemiecki zażądał ustąpienia ministra spraw zagranicznych Delcassé'go i, opierając się przy konferencji, zagroził Francji wojną w rozmowie z ambasadorem Cambon'em. Przerażona Francja zarządziła natychmiast mobilizację na pograniczu wschodniem i — uległa. Że dyplomacja berlińska nie umiała poradzić sobie inaczej jak dobywaniem szabli, charakteryzuje to jej metodę, jej ciężką rękę i oświetla istotę Niemiec Wilhelma II-go.

Niemcy wprawdzie postawiły na swojem, ale na konferencji sprawę przegrały. Z wyjątkiem zdegradowanych do roli lennika Austro-Węgier wszystkie państwa, łącznie z Włochami stanęły po stronie zagrożonej Francji. Mniejsza, że Niemcy nie wyniosły z Algieciras nawet tego, co Francja byłaby im przyznała w cztery oczy, lecz nastąpiło tam zacieśnienie węzłów francusko-angielskich oraz — zbliżenie Anglji do Rosji, niejako pod grozą niebezpieczeństwa niemieckiego. »Entente cordiale« i to ugrupowanie solidaryzowanych mocarstw, które mogło było zastanowić Niemcy poważnie, zmieniło postać rzeczy w Europie, sprowadzając Niemcy

do roli skromniejszej w koncercie mocarstw. Lecz Niemcy nie wyniosły jednak z tego nauki.

Dlaczego mimo tak prześwietne warunki bytowania narodowego pielęgnowały Niemcy tak namiętnie militaryzm? Dlaczego z jakąś wewnętrzną koniecznością, jak kamień spadający z góry, dążyły instynktownie do wojny, do zaborów?

Bo rdzenny, zuchwały militaryzm stanowi integralną, potężną strunę ich charakteru narodowego a, jak twierdzi Salustus, państwa utrzymują się tylko takiemi środkami, jakiemi powstały.

Nie w tem tkwi istota militaryzmu, że Niemcy posiadały tyle karabinów, dział i pancerników, lecz w tem, że mieszkał w ich duszy zbiorowej i wygrażał światu duch Geronów, Krzyżaków i Fryderyków. W innym razie wszystkie te coraz liczniejsze korpusy i eskadry mogły były rzeczywiście mieć cele jedynie obronne, nie ulega bowiem kwestji, że państwo z otwartemi na Wschód i Zachód granicami musi wspierać swe stanowisko odpowiednią, imponującą siłą zbrojną. Wszelako Niemcy wychodziły po za granice koniecznych potrzeb, głuche na upomnienia dążyły, tak jak w ciągu wieków Prusy, do prześcignienia innych pod względem ilości i jakości żołnierza, w tem upatrując najpierwsze, najważniejsze swe zadanie, swą najszczytniejszą ambicję i chlubę.

Armata była symbolem państwa i jego bożyszczem. Względom na armję podporządko-

wywało się literalnie wszystko i wszelaka praca tego skrzętnego, siedemdziesięciomiljonowego narodu zmierzała w ostatniej instancji do najwyższej doskonałości armji i do najskończeńszego we wszystkich szczegółach pogotowania wojennego. Kto na tę działalność Niemiec całych patrzał, nie dziwił się nieporównanej sprawności tej armji, szybkości jej operacji i doskonałości intendantury, jakie ujawniły się w toku tej wojny. Stworzył to gremjalny, zgodny wysiłek całego wojskowego narodu przez lat czterdzieści — narodu posiadającego bardzo dawne, nieustannie wielbione tradycje w tym kierunku.

Żołnierz, a prócz niego chyba tylko jeszcze policjant mogli uchodzić za typowych przedstawicieli Niemiec. Do armji przystępował ogromny procent najlepszych sił intelektualnych narodu. Kto nie poświęcał się służbie wojskowej, ubiegał się o szlify oficera rezerwy, bo dla lajtnanta otwierały się wszystkie salony i kancelarje, do niego biły serca każdej przeciętnej Gretchen i wznosiły oczy całej nacji. Zostać oficerem było marzeniem młodzieży, którą w tym duchu urabiało służalcze celów państwowych narzędzie — szkoła. W ostatnich latach utworzono przymusowe związki harcerzy, na sposób pruski kierowane, i owa »Jungdeutschland« robiła wrażenie młodocianego wojska.

Na cele wojskowe państwo znajdowało zawsze fundusze i nic nie było za kosztownem, za dobrem. W lada mieścinie można było zo-

baczyć okazałe gmachy koszarowe a w większych centrach wojskowych kompleksy budowlane i urządzenia na największą skalę. Nigdzie nie szafowano pieniędzmi państwowemi tak hojnie i tak chętnie na te cele i nigdzie żołnierz nie zajmował tak wręcz egzaltowanego stanowiska w kraju. Każdego obserwatora z zagranicy musiało bić w oczy, jak wiele miejsca w Niemczech zajmował rozpanoszony żołnierz.

Prusy, które z grabieży i zdrady powstały i z grabieży żyły, ani same nie przeobraziły się w swej istocie ani nie zmieniły charakteru swej polityki, rozciągniętej na Niemcy i obfite owoce przynoszącej. Kroczyły logicznie po linji przez fatalizm rasowy wykreślonej; namiętny, bałwochwalczy militaryzm był czemś przyrodzonem (jak u Napoleona, co wyłonił się z wojny i pędził od wojny do wojny). A nabrał szczególniejszego uroku, gdy Prusy dzięki jemu, dzięki Francji Napoleona III i Rosji Gorczakowa, przez Bismarcka zahypnotyzowanego, wspięły się na grzbiet państw związkowych i Austro-Węgier i z koroną cesarską na skroni zajęły wielkomocarstwową pozycję w świecie. Z tym rozbujałym militaryzmem poszedł ręka w rękę brat jego: imperjalizm a z tego związku wyłonił się konsekwentnie — upiór wojny.

Jeszcze rok przed rozpętaniem tej piekielnej zawieruchy powiększyły Niemcy swą armję pod bronią stojącą o 140 tysięcy chłopa czyli do 860 tysięcy, przyczem ukoronowały swe pogotowie wojenne nieznanym gdzieindziej »po-

datkiem (tak obłudnie zwanym) obronnym« (Wehrsteuer), jaki dał im miljard marek na pierwsze potrzeby wojenne.

Jak wielką będzie cała zmobilizowana armja niemiecka pozostało ostatecznie tajemnicą dla parlamentu, narodu i — last but not least dla trójporozumienia. Cyfry te zatajano konsekwentnie i celowo; co oczywiście możliwem było tylko w państwie autokratycznie rządzonem a dziś robi wrażenie, jakby ktoś pokazywał gościom skarby swego arsenału a w podziemiach chował zdradziecko najcenniejsze swe środki wojenne, co posłużyć mu mają do napaści, do pogromu świata.

Niebezpieczeństwo, jakie przy wzmiankowanych wyżej okazjach łyskało kłami z paszczy militaryzmu, przejmowało dreszczem nie tylko trójporozumienie, ale państwa neutralne tudzież Włochy, na zalew germański wystawione. W następstwie spowodowało ono konsolidację entente'y oraz instynktowne do niej zbliżenie mniejszych państw. Atoli mimo to nie doceniano wcale ogromów tego niebezpieczeństwa.

W. Brytanja pozostała całkiem nieczułą na głos marszałka Robertsa, nawołującego do zaprowadzenia powszechnej służby wojskowej, i zaniedbała zupełnie swe zbrojne siły lądowe. Niewątpliwie sędziwy marszałek żądał bardzo wiele, bo żądał zerwania z wolnościową tradycją i ustrojem wewnętrznym, innemi słowy żądał przewrotu w stosunkach i wykolejenia narodu z jego szlaku rozwojowego, indywidualnego.

Mimo to wszakże W. Brytanja byłaby zdobyła się bodaj na ten wielki akt, do jakiego zniewoliła ją dopiero twarda konieczność, gdyby była w całej pełni zdała sobie sprawę, jak ogromnie groźnemi są Niemcy.

Rosja, mniej zajmując się Dalekim Wschodem, byłaby energicznie reformowała armję, zmodernizowała pogotowie wojenne a może nawet dźwignęła się jeśli nie do polityki słowiańskiej w wielkim stylu, to do wydobycia sprawy polskiej z kałuży swej bezradności. W tym kierunku byłaby zapewne zużytkowała swe wpływy Francja, opierająca się tak silnie na kosztownej swej sojuszniczce, byłaby przez swą nieszczególną dyplomację w Piotrogrodzie dążyła do postawienia narodu, na pograniczu Prus osiadłego, w pełnej sile w szeregach antyniemieckich. Tego zaniedbało trójporozumienie z dotkliwą dla siebie ujmą.

A cóż zagrażało światu ze strony militaryzmu i imperjalizmu bogatych i rozbujałych Niemiec?

Nie trudno na podstawie różnych danych zbudować ów niebotyczny pałac ambicji i planów, pieszczonych w zanadrzu, na sercu Germanji.

Wydrzeć W. Brytanji trójnóg Neptuna przy dźwiękach nowego hymnu: Rule Germania było marzeniem narodu, na oceanach widzącego swą przyszłość i następstwem nieporównanej ekspansji handlu zamorskiego, rozrostem marynarki handlowej i wojennej. Na przeszkodzie

do tego stała Francja. Od czasów Moltkego zajmowali się różni pisarze wojskowi jak n. p. szef sztabu Verdy du Vernois a w końcu wpływowy gen. Bernardi walną, ostateczną rozprawą z przyjaciółką Albionu. Rozchodziło się tylko o moment najstosowniejszy do »stratowania kopytami« Francji.

Po zwycięstwie Niemcy byłyby zmuszone »ze względów strategicznych« zająć łańcuch fortec francuskich od Verdun'u do Belfort'u, a »ze względów handlowych i kulturalnych« zapewnić sobie i niemieckości zupełny podbój Francji, dostarczyć jej ludności i uszczęśliwić ją błogosławieństwami swej kultury. Nadto Niemcy musiałyby zaanektować Belgję, dlatego że częścią jest rasowo francuską a częścią flamandzką czyli »właściwie niemiecką«. Zapewne nastąpiłoby także »uregulowanie granicy« belgijsko-francuskiej, przyczem zajęłyby Niemcy Dunkierkę i Calais. Wreszcie spłynęłaby na nie kontrybucja w złocie, potrzebnem na dalszą budowę pancerników.

Nie upłynęłoby wiele czasu a Holandja — »we własnym, dobrze zrozumianym interesie« jak w przewidywaniu zwycięstwa tłumaczył jej pewien profesor lipski — przystąpiłaby do Rzeszy, by ogrzać się przy ognisku kultury niemieckiej i uczestniczyć w korzyściach ekonomicznych Niemiec, które »i tak żywiły Holandję i przy swym boku tylko tolerowały«. Prędzej czy później Danja zapłonęłaby także afektem pangermańskim i, przygarnięta łaskawie a mocno

znalazłaby się pod jednym wielkim dachem niemieckim. Kto wie, czy Niemcy nie byłyby także zmuszone przejąć od Szwecji wyspę Gotlandzką jako przedmiot leżący na jeziorze niemieckiem a więc właściwie im przypadający. Brazylja wyrzekłaby się na rzecz Niemiec zgermanizowanego stanu św. Katarzyny, a Argentyna swej Patagonji, gdyż Niemcy nie mogłyby się obyć bez swego pied-à-terre w Ameryce południowej.

Niezwłocznie po rozprawie z Francją uregulowałyby Niemcy swój stosunek do Austro-Węgier. Za wierne ich usługi oraz ze względu na bezpieczeństwo monarchji rakuskiej zniesionoby cła między obu państwami i powierzono buławę Habsburgów Hohenzollernowi. Turcja, która przypięła swe losy do sztandaru Niemiec, stałaby się prowincją niemiecką z sułtanem jako tytularnym prezydentem, któremu niedawno hojny Berlin podwyższył apanaże. Z Mezopotamji otworzyłyby się nowe horoskopy zaborcze na Ocean Indyjski a z Trjestu na Morze Śródziemne.

Nie wchodząc w to tutaj, jak na Polsce i na Rosji odbiłby się triumf Niemiec, dość zaznaczyć, że między królującemi na kontynencie Niemcami a W. Brytanją niebawem pokrzyżowałyby się interesy w licznych punktach globu. Z chwilą, gdy Niemcy jawnie i skrycie, nieustannie i gorączkowo pracując nad powiększeniem marynarki, poczułyby się na siłach, wybuchłaby wojna o panowanie nad oceanami.

Ukołysana w sytem zadowoleniu i pewną inercją magnata przygaszona Anglja broniła się przed widokiem niebezpieczeństwa niemieckiego, oddawała się złudom pokojowym.

Dopiero w czasie tej wojny Anglja i wszystkie inne mocarstwa zrozumiały w całej pełni niesłychane rozmiary tej grozy, wobec której zbladłoby oblicze Meduzy. Dopiero teraz pojął świat, że wycięcie tego raka militaryzmu i zachłanności, któremu pozwolono niebacznie rozrość się i rozpanoszyć, a który toczy ciało Europy, jest kategorycznym imperatywem, jeśli świat z całą swą kulturą nie ma runąć i konać pod butem grenadjera pruskiego.

Ów militaryzm, co na fali ogromnej potęgi materjalnej wzniósł się nad światem jak upiór, tkwi głęboko korzeniami w niemieckim charakterze narodowym. A więc na zagadnienie, kto rozpętał furje wojny, kto pogrążył ludzkość w potopie nieszczęść, brzmi odpowiedź: duch pruski — idea germańska.

Bismarck, sam latorośl z czysto pruskiego ducha, pogłębił i do godności dogmatów wyniósł zasadnicze cechy Prusaków, nabierzmował ich na dalszą drogę polityki, przez siebie wytkniętej, jaką Wilhelm II pójść musiał, uniesiony prądem ery tytana z Warcina. Walcząc z militaryzmem, z duchem pruskim, koalicja walczy z cieniami Bismarcka, co wycisnął swe piętno na całych, spółczesnych Niemcach.

Dogmaty te uświęciła filozofja Spinozy i Hartmana, zalecały dzieła słynnego historyka Niemiec Treitzkego, takiego prof. Zorna i plejady magistrów narodu, apostołujących w myśl racji stanu, w duchu myślącego za wszystkich rządu berlińskiego.

Od zarania swych dziejów Prusy były, są i będą klasycznymi eksponentami maksym takich jak: siła przed prawem, cel uświęca środki i tezy Spinozy: »każdy ma tyle prawa ile ma mocy« — czyli najbezwzględniejszej zachłanności i wyuzdanego egoizmu narodowego, nigdy nie splamionego podmuchem idealniejszym.

Nikt o tem nie wie lepiej od Słowian. Od brzegów Łaby począwszy wchłaniali Germanie ten żywioł, ogniem i mieczem go niszcząc i w helotów zamieniając. Użyzniali te ziemie potem tych niewolników i niwelowali, aż obecnie dotarli do ostatniej Polan placówki, Warszawy z mieczem ostatecznej zagłady. Krzyżacy, na polskiej ziemi wykarmieni, zapisali się w dziejach naszych germańskiem piórem a ich spadkobiercy, Prusacy, zdradzali Polskę, póki jej ze świata nie zgładzili. Istnienie swe zawdzięczali niedołęstwu Polski, a wszystko, nie wyłączając swego nazwiska – grabieży. Z ich inicjatywy wyszły dwa pierwsze rozbiory Polski, oni zabrali ujście Wisły i etnograficzne ziemie polskie, trzymając się przytem wygodnie na drugim planie, w roli satelitów Rosji.

Pod znakiem krzyża mordowali i palili Krzyżacy i ze słowem Chrystusowem na ustach wyprawiał Wilhelm II swe kohorty na mordy chińskie i Pana Boga wzywał uroczyście na pomoc, rozpalając pochodnię pożogi wojennej, godząc na życie Europy. Bo Niemcy piastują wysoko krzyż Chrystusowy. Racja stanu każe się im posługiwać tem jako narzędziem do utrzymania mas w wiernopoddańczym serwiliźmie a militaryzm nie gardzi nim jako trąbką wojenną. Niemcy stworzyli do swego użytku swego własnego boga, stojącego po stronie mocniejszych armat. Der Deutsche Gott nie zajmuje synekury; musi spełnić liczne polecenia, czuwać nad flotą napowietrzną, nad Zeppelinami wyjeżdżającymi na mordowanie niewinnych mieszkańców angielskich mieścin i nad łodziami podwodnemi, zatapiającemi pasażerów »Lusitanji«. Nieraz mogłoby się zdawać, że to jaki feldwebel pruski. Gdy ma zwyciężać w bitwie, podnieca go cesarz i prasa wspomnieniem Sedanu, mianuje go swym »starym bogiem«, gdy ma dopomóc do triumfu bezprawia i gwałtu, nazywa go »bogiem sprawiedliwości«. Niemiecki bóg należy do składu armji niemieckiej, aczkolwiek nie figuruje na jej listach i ani nie pobiera pensji ani nie otrzymał nawet żelaznego krzyża drugiej klasy.

Obok zachłanności państwowej szła zachłanność handlowa a śladem jej postępowała odwieczna nieubłagana, brutalna zachłanność rasowa. Nie dość wcielić obcą ziemię do Prus,

trzeba ją jeszcze zgermanizować, czyli, mówiąc stylem oficjalnym, uszczęśliwić dobrodziejstwami wyższej kultury niemieckiej. Poznały jej dobrodziejstwa Wielkopolska i Prusy Królewskie w ciągu czterdziestoletniego zmagania się z ową kulturą, która ma tę właściwość, że budzi powszechnie jeszcze daleko większy postrach od rządów i policjantów pruskich, aczkolwiek Prusacy niestrudzenie i jarmarcznie okrzykiwali ją za najlepszą, za jedynie dobrą na świecie i do nieba prawdziwego szczęścia wiodącą.

Za lekcje o istocie Prus i Prusaków zapłacili dawni Słowianie i Rzeczpospolita istnieniem a dzisiejsza Wielkopolska łzami dzieci szkolnych, bolem rugowanych z gleby chłopów, niedolą Drzymałów, bezprzykładną niewolą sumienia, pohańbieniem swej duszy, niskim poziomem kulturalnym i upadkiem ducha.

»Groźne to plemię ci zwycięscy z pod Sedanu, — pisze Klaczko. — Duch jego pierwiastkowo zdobywczy i zaborczy umiał przebyć wszelkie przemiany i zastosować się do nich. Jednocześnie pokorni i zarozumiali, trzeźwi i zawzięci, trzymający się przysłowia »ibi patria ubi bene«, lecz przywiązani do matki ojczyzny — umieją Niemcy wcisnąć się do każdego kraju, dotrzeć do wszystkich sfer i nie gardzić żadnym mieszkalnym zakątkiem. Mają oni swych krewnych lub spowinowaconych na wszystkich tronach i we wszystkich kantorach świata, zaludniają wszystkie centra przemysłowe, wpływają na wybory prezydjalne w Stanach Zjedno-

czonych, dostarczają najsilniejszego kontyngentu administracji w państwie cara. Pamiętamy statystykę armji rosyjskiej, wymieniającą 80 Niemców na 100 wyższych oficerów. Takim przedstawiał się Niemiec jeszcze przed r. 1866 i 1870, przed erą krwi i żelaza, przed Bismarckiem i jego magicznem dictum: tu regere imperio populos!«

Tylko taki żywioł, brakiem etyki uposażony, mógł poczynić tak olbrzymie podboje pokojowe na obczyźnie, mógł wgryźć się w inne organizmy narodowościowo tak głęboko. W Lombardji dość wcześnie odkryto niebezpieczeństwo zagrażające od drużyn germańskich włoskiemu stanowi posiadania, od owych doskonale zorganizowanych, planowo prowadzonych a bogatych towarzystw handlowych, które opanowały głównie hotele i zapuszczały cichaczem zagony po całym półwyspie Apenińskiem. Poczęto sarkać i myśleć, jakby oczyścić kraj od najazdu mrówek.

Orjentalną inercją dotknięta Rosja, lubo najwięcej nawiedziona tą plagą, nie zrobiła aż do wojny odruchu przeciwko temu Drang nach Osten. Dyplomacja berlińska, tak czujna i poniekąd szczęśliwa w Piotrogrodzie, zapobiegała temu doskonale. Pomimo zbliżenia rosyjsko-francusko-angielskiego posiadała nad Newą zdumiewające wpływy, jakie wyzyskiwała świetnie na korzyść swego przemysłu i rolnictwa oraz — na niekorzyść aspiracji narodowych Królestwa. Tymczasem wędrowali do Polski

i Rosji Niemcy i jechały towary. Łódź sama liczyła 130 tysięcy Niemców, tudzież 200 tysięcy Żydów niemieckich. Było tam nie mniej jak 332 przedsiębiorstw handlowych niemieckich z produkcją wartości 150 miljonów marek oraz innych przedsiębiorstw wartości 71 miljonów. A własność niemiecka w Łodzi przedstawiała się w cyfrach 500 miljonów. Ale Piotrogród nie widział tego lub widzieć nie chciał, mimo, że ze strony polskiej wskazywano na to niebezpieczeństwo. Ten obcy i wrogi żywioł doznawał faworów a słowiańscy krajowcy doznawali ujmy.

Wogóle import niemiecki do Rosji wzrastał corocznie tak, iż imperjum słowiańskie najlepszą było kolonją Niemiec. Doszło do tego, że stanowił on połowę ogólnego wewozu towarowego do Rosji. Można przeto powiedzieć, że miljardy francuskie, tak hojnie tam płynące, szły w kieszenie niemieckie, to znaczy do fabryk Kruppa i finansowały obecną olbrzymią a fatalną imprezę wojenną Wilhelma II.

Tymczasem mrówczy żywioł niemiecki robił wrażenie potulnej czeladki. Lecz skoro grono Niemców rozpanoszy się gdziebądź, wnet przychodzi do przekonania, iż stąpa po ziemi »właściwie niemieckiej«. Duńczycy twierdzą, że odwiedzając tłumnie ich wyspę Bornholm, goście pruscy pojąć nie mogą, jakim sposobem wysepka ta nie należy jeszcze do Niemiec i poczytują to za omyłkę Pana Boga. I u nas, w Królestwie, nie brakło przejawów wskazu-

jących na to, że skoro kolonja Niemców poczuje potężne plecy Germanji, przybiera postawę wyzywającą. A ponieważ »les extrêmes se touchent«, więc gdzie potrzeba, w pierwszem stadjum pobytu na obczyźnie zuchwała zaborczość kulturników tych maskuje się absolutną uległością i potulnością, jaka cechuje Prusaka wobec siły. Trzymając się rządu i sfery panującej, goście ci mogą uchodzić i uchodzą za wzór spokojnych obywateli. Uwiedziony i naiwny ogół nie przypuszcza, iż żywi jaszczurcze plemię, któremu w danej chwili, na komendę z Berlina, mogą wyrość rogi.

Pod tym względem Prusacy podobni są bardzo do Żydów. Jedni i drudzy oscylują między psią potulnością, posuwającą się do zaniku godności osobistej, a bezczelną arogancją, z jaką, obrósłszy w pierze, uzurpują sobie pierwsze miejsce i pchają się na szeroką widownię. Nie dość na tem. Cechuje ich obu brak etyki i wielka solidarność plemienna. Emigrują chętnie, zaaklimatyzowują się snadnie, nabierają pozory krajowców a pozostają Niemcami jak Żydzi — Żydami. Dawniej nieraz wynaradawiali się, lecz zmieniło się to od czasów, gdy nacjonalizm szowinistyczny zapanował w Niemczech a rząd berliński bardzo czujną nad nimi rozciągnął opiekę i zespolił drużyny te pionierskie tajnemi węzłami z ojczyzną.

Pokrewieństwo duchowe między Prusakami a Żydami ujawnia się także we wspólnej im spekulatywności umysłu, w skłonności do mi-

stycyzmu, w braku swoistej, samoistnej iskry twórczej, w niemałych zdolnościach kompilacyjnych, w wybitnem upodobaniu do muzyki i wysokiem umuzykalnieniu.

A w ostatniej swej fazie rozwojowej Prusacy zbliżyli się w swej psychice do Żydów jeszcze i pod tym względem, że jak dzieci Izraela poczytywali się za naród — wybrany, zesłany z misją uszczęśliwienia ludzkości przez swą prawdziwą oświatę i kulturę. Przerażający ten neomesjanizm niemiecki miał wśród najwyższych przedstawicieli umysłowości jawnych apostołów, którzy wyciągnęli wszystkie konsekwencje z orzeczenia patrjarchy, Wilhelma II: Niemiec jest solą ziemi.

Nie tyle ta okoliczność, że żargon Żydów północnych wyłonił się z języka niemieckiego, lecz raczej to zdumiewające powinowactwo psychiki rasowej tłomaczy ów mistyczny związek dusz istniejący między Prusakami a Żydami. Wystąpił on na jaw wyraźnie z okazji tej wojny. Gdziebądź mieszkając, w Rosji, Rumunji czy w Anglji lub w Ameryce, rzesze izraelickie płonęły sympatją dla Niemiec i ich sprawy i swe losy na niemiecką wstawiły kartę.

Zresztą Żyd to południowiec i przebiegły azjata, subtelnego, bardzo elastycznego umysłu, a Prusak to knecht w ciężkich butach kroczący po niwie umysłowości i — przez historję.

Wsiadłszy na wielkiego konia, śpiewa on pieśni pychy i zachłanności: »Deutschland, Deutschland über alles!« i »Mein Vater-

land muss grösser sein«. To ostatnie hasło wskazuje na to, że dla Prusaka ojczyzną może być każda obca ziemia, jaką jutro wydrze komu innemu. Istotnie tak jest; posiada on nawet tę charakterystyczną właściwość, że najlepiej smakuje mu chleb, wyrwany z ust bliźniemu. Spożywając go bowiem, czuje się kulturtregerem, pod sztandarem idei germańskiej pracującym.

To, co przyziemny tłum wyraża w swej pieśni, wypowiadają niedwuznacznie Niemcy na świeczniku stojący, których za kwiat umysłowości niemieckiej uważać musimy. Zapisać tu należy pro aeterna rei memoria enuncjację ministra Hammersteina w sejmie pruskim w końcu zeszłego stulecia. Znużony debatą o sprawach polskich, rzucił on Polakom znamienne słowa, z duszy niemieckiej wyjęte: »my tu rozkazujemy a waszą rzeczą jest słuchać!« słowa, jakie niewątpliwie krzyknęłaby Germanja całemu światu, gdyby zwycięstwo padło na jej stronę.

Pierwsze gromy oręża niemieckiego w tej wojnie rozpętały wulkany nacjonalizmu, skłoniły wielu mędrców narodu do szczerego wypowiedzenia swych uczuć i nadziei. Profesorowie niemieccy wsławili się przez swe wyznania. Wśród koalicji zarówno jak w państwach neutralnych ogromne wrażenie wywołały beztaktowne, niepolityczne i krzyczące w swej brutalnej zachłanności głosy profesorów Oswalda, Schmollera, Haeckla, Warnecka i innych. Obnażyły one duszę pruską i larwę idei germańskiej, otworzyły oczy na ogrom nie-

bezpieczeństwa niemieckiego. Palma pierwszeństwa należałaby się bodaj berlińskiemu prof. Mauthner'owi, który całą tę publicystykę ukoronował aforyzmem: »Mensch sein d. h. deutsch sein« — tak, iż teraz wiadomo światu, że człowiek zaczyna się od Niemca....

Nie ostatnim w szeregu tych mędrców, co tak skandalicznie skompromitowali swą ojczyznę, był monachijski prof. Stengel. Tego skrajnego przeciwnika rozbrojenia uznał Berlin za najstosowniejszego swego delegata na konferencję pokojową w Hadze.

Z okazji ankiety rozpisanej w r. 1916 przez holenderski związek zwolenników pokoju: Anti-Orlog-Raad, a mianowicie na pytanie odnośnego okólnika, czy jest pożądanem i możliwem, aby po wojnie prowadzić w dalszym ciągu prace konferencji haskiej, pan profesor odezwał się w słowa, zaiste godne przytoczenia. Odpowiedział:

»Nie! Jest to całkiem zbytecznem, gdyż ostateczne, stanowcze zwycięstwo przypadnie bez wątpienia i przypaść musi w udziale — Niemcom. Przez to zdobędziemy możność trzymania w ryzach wszystkich niechętnych pokojowi i zapewnimy nie tylko sobie, lecz całej cywilizowanej ludzkości trwały i jedynie prawdziwy pokój. (!)

»Cały przebieg tej wojny dowodzi przecież że my Niemcy wpośród wszystkich narodów upatrzeni jesteśmy przez Opatrzność do tego, by stanąć na czele wszystkich narodów i po-

wieść je do zapewnionego pokoju — pod naszą strażą. Posiadamy bowiem potrzebną do tego potęgę i siłę, a nadto najwyższą potencję wszystkich darów duchowych. My tworzymy koronę kultury w całym świecie. Dlatego naszą misją jest obdarzyć świat pokojem — dokazać to, czego nie dokonał dotąd żaden naród. (!)

»Z tego wynika, że zbędną jest wszelka dalsza praca na konferencji pokojowej. Przecież my Niemcy przejmiemy wobec niespokojnych sąsiadów zadania policji, nad pokojem stróżującej, i urząd ten pełnić będziemy o własnej sile, gdziebądź zajdzie tego potrzeba. Wszelakie zakusy, zagrażające pokojowi, zgnieciemy w zarodku.

»Podporządkować się pod nasze przodownictwo, górujące pod każdym względem — to jedyna i najpewniejsza droga dla każdego narodu, pragnącego istnieć w korzystnych warunkach. Szczególniej dla państw neutralnych, które nie mogą uczynić nic lepszego jak dobrowolnie przyłączyć się do nas i powierzyć się Niemcom. Stąd spłynęłyby na nie dobrodziejstwa. Tak radzi przezorność i ostrożność w tych ciężkich czasach rozłamu wśród narodów, wskazujących na potrzebę skupienia się pod hegemonją potężnej głowy. (!)

»A niema narodu więcej uczuciowego i idealnego (!) jak my Niemcy; pod naszą pieczą zatem nie potrzeba będzie żadnego prawa narodów, gdyż my z własnej inicjatywy, dobrowolnie wymierzymy każdemu sprawiedliwość.« (!)

Wdzięczność należy się panu profesorowi za te słowa, gdyż mówią one to, co gnieździ się i fermentuje w duszy niemieckiej od dawna, mówią tomy...

Zdradza on dziwactwa psychiki niemieckiej, głównie zaś zdumiewający w »narodzie uczonych« brak objektywizmu, brak zmysłu psychologicznego, jaki pozwala wnikać intuicyjnie w umysł i duszę innych narodów. Skutkiem tego defektu stało się, że wszczynając tę wojnę, rząd niemiecki liczył na neutralność W. Brytanji, nie zdając sobie sprawy z usposobienia panującego przy Downingstreet. A przecież Niemcy robiły wszystko, by odstręczyć od siebie Anglję!

Pomiędzy Niemcem a innymi narodami zachodzi szczególniejsza różnica. Jeżeli jaki naród zada innemu głęboką ranę, wyrządzi krzywdę, świadom tego nie oczekuje w zamian uczuć przyjaznych. Tymczasem Prusak nazywa krzywdę słabszemu wyrządzoną dobrodziejstwem i wymaga odeń za to wdzięczności.

Nie odrazu przyszedłem do tego przekonania. Długo bowiem brałem owe głośne pretensje do wdzięczności za »dobrodziejstwa pruskie«, z jakiemi występują Prusacy ciągle wobec tak srodze doświadczanych Wielkopolan, za wykręt winowajcy, za przejrzystą obłudę faryzeusza. Tymczasem przekonałem się, iż wierzą oni szczerze, że należy im się od Polaków wdzięczność, i zgoła pojąć nie mogą przyczyn niezadowolenia z ich strony. Tak daleko idąca

ciemnota wydaje się wręcz nieprawdopodobnem zjawiskiem u narodu cywilizowanego, a jednak jest faktem, świadczącym, że zbiorowy umysł niemiecki upośledzony jest jakimś specyficznym obskurantyzmem.

Prusak wielbi całą duszą, nadewszystko — siłę a siebie uważa za doskonałe naczynie siły, wogóle rozpływając się w adoracji samego siebie. Wielkość zawróciła mu głowę tak, iż postradał tę trochę samokrytycyzmu, jaki może cechował go przed erą Bismarckowską. W epoce przedwojennej roiło się w Niemczech od tandetnych, czasami też cenniejszych a nawet wręcz »profesorskich« publikacji, nie mających nic innego na celu jak upust przepełniającego duszę pruską zachwytu nad najskończeńszą, najwyższą kreacją boską — nad Niemcem. Wprost zionął ze wszystkiego w Niemczech samochwalczy kult niemczyzny. Jakoż wyżej przytoczony aforyzm prof. Mauthnera nie był wcale oderwanym wybrykiem chorobliwego megalomana, lecz wyrazem ogólnie panującego przeświadczenia. Człowiek zaczyna się od Niemca, a więc Niemiec czuł się całkiem upoważnionym do traktowania nie — ludzi jakby nikczemnego motłochu. A zwłaszcza Słowian. Z mlekiem matki wyssał on pogardę do nich i w jego pojęciu Słowianin oddany został Germanji na jej wieczysty użytek. Nie może przeto aspirować do równouprawnienia z kandydatami na władców świata, z urodzoną nacją panującą.

Najwyższa, bałwochwalcza cześć dla siły — dla siebie, a najwyższa pogarda dla słabości, niewolnicza uległość wobec mocarzy a krańcowa, wzgardliwa bezwzględność wobec słabszych — to wybitne cechy charakterystyczne tej nacji. Kult siły nie ma w Prusaku granic; korzy się on w prochu przed nią z uwielbieniem nawet wówczas, gdy odbija się ona na jego grzbiecie. Miłuje monarchę nie szlachetnego, lecz brutalnego, chociażby sam jęczał pod ciężką jego pięścią. Dlatego też tem mniej pojmuje, że Polak nie kocha upancerzonej pięści Bismarckowskiej. Z królów polskich tylko dla Chrobrego, Łokietka i Jagiełły mają dziejopisarze niemieccy słowa uznania. Kto zatem pragnąłby zjednać sobie cześć i miłość Prusaków, ma tylko jedną do tego drogę: musi ich bić, bić i na kolana powalić.

Znachodzimy więc w życiu publicznem Niemiec fenomenalny objaw Herrenmoral'u, monstrualnej »moral insanity«, drapującej się już nie tylko w togę wyższości kulturalnej, ale nawet w białą szatę uczuciowości i idealizmu.

W swej absolutnej nieznajomości siebie i swej ślepocie psychologicznej Niemiec musi raz wraz potykać się o zagadki, zgoła dlań nierozwiązalne Taką zagadkę widział on w kwestji, jaką wojna ta nie mogła mu nie stawić, a mianowicie w zagadnieniu, dlaczego Niemcy są tak powszechnie znienawidzonym narodem na świecie.

W swej bezradności tłomaczono to sobie zazdrością. Tymczasem przeczy temu fakt, że wojna zastała Zachód Europy ukołysanym w dobrobycie i zadowoleniu i nieprzygotowanym do zapasów wojennych, których usiłował uniknąć. Zresztą czyliż nienawiść wszystkich wrogów dzisiejszych możnaby przypisać jednemu motywowi zazdrości?

Nie zazdrość, ale — strach przed zachłannością agresywną kupca i żołnierza niemieckiego wyradzał potęgujące się z czasem uczucie niechęci, zasycane antypatją, jaką dość powszechnie budziły pruskie wady, grzechy, ułomności i — zalety. Kto ograbia i uciska innych, kto przy każdym stole pierwsze zabiera miejsce sobie, a następnie ze stolca swej »wyższości kulturalnej«, brutalnie pięścią w stół waląc, woła: waszą rzeczą jest słuchać! — ten zaiste nie powinien dziwić się, że jest tak wśród narodów znienawidzonym. Kto tak wszczepiał kulturę w Poznańskiem, nie ma prawa oczekiwać, by inny naród miał wyciągać ramiona do ery niemieckiej, która kraj jego przeobraziłaby w nowe Księstwo Poznańskie.

Rozpoznano w świecie Niemca jako knechta, co nie pozwala innym żyć, i w tem, krótko mówiąc, tkwi tajemnica nienawiści ludów do Niemca. Jego ordynarność, ujawniająca się w kobiecie niemieckiej, która nawet w dodatnich swych okazach robi wrażenie pospolitości, albo n. p. we wzmiankowanej wyżej, tak inteligentnej dewizie następcy tronu, zapożyczonej

z gwary uliczników berlińskich — jego chamskie samolubstwo, brak ogłady i smaku, nie przyczyniają się także do popularności tych wędrownych kulturników po za granicami kraju. A ów kult pięści i armaty, znamionujący Prusaka tak arcydobitnie, uzasadnia wystarczająco miano, jakie mu przysługuje — miano knechta wśród narodów.

Z tej racji niebezpieczeństwo od strony Berlina szczególną przejmuje grozą, bo knecht w roli pana to najokropniejszy z panów.

Charakterystyka typowego Niemca da się zamknąć w jednem, prawdziwie niemieckiem słowie: Drill — tresura.

Państwo, oddane umiłowanej faworycie narodowej: armji, posługiwało się jej metodą w stosunku swym do poddanych. I kto zna Niemcy, wie, jak doskonale udało się tam wychować ludzi na szeregowców zuniformowanych duchowo, świadomych wytkniętych sobie powinności: Soldat werden, Steuer zahlen, Maul (sic!) halten. Państwowość niemiecka spoczywa ciężkim głazem na społeczeństwie i niweluje indywidualności, szablonuje umysły, automatyzuje ludzi, zamienia indywiduum w niewolniczego, tysiącznemi zakazami obwarowanego sołdata, degraduje człowieka do roli niedorozwiniętego młodzieńca, oddanego państwu w kuratelę.

O społeczeństwie rosyjskiem pisze Roman Dmowski, że jest ono w o wiele większej mierze zbiorem jednostek od społeczeństw zachod-

nich. Wręcz przeciwnie Niemcy, które były najwięcej antiindywidualistycznem państwem pod słońcem, gdzie przykrawano jednostki na łożu Prokrusta strychulcem państwowym tak, iż państwo to stało się zbiorem machin ludzkich. Obywatel albo raczej poddany spozierał na wszechmocny rząd jak dziecko ku matce, gdyż państwo panowało nad nim jak feldwebel nad szeregowcem już od jego szóstego roku życia. Brało go ono w swe posiadanie, urabiało na swoją modłę, wpływy rodzicielskie unicestwiając za pomocą szkoły ad hoc nastrojonej, ono za niego myślało i prowadziło go na postronku przez życie. Absolutyzm państwowy przenika społeczeństwo niemieckie na wskroś.

Anglicy nazywają tresowanie psów »włamywaniem«. To samo wyrażenie można zastosować do Niemców, których rząd włamuje, — biorąc osobnika w karby serwilizmu duchowego i zależności pojęciowej — w sferę swych zadań i dążności. W każdym wypadku może nakręcić to swe zegarowe narzędzie dowolnie i łatwo; gdy każe mu nienawidzieć Polaków, sfornie rzucają się tłumy na »obronę niemczyzny«, a gdy w czasie wojny każe im nienawidzieć nadewszystko Anglików, więc nawet dzieci w szkołach proszą Boga o ukaranie »złoczyńców«, witając się słowy: Gott strafe England. We wszystkich stanach i zawodach, na wszystkich szczeblach drabiny społecznej, na każdym kroku znachodzimy w tem państwie policyjno-militarnem psi serwilizm wszelakiego rodzaju.

»Wyższe wykształcenie — mówi Nietsche — nie jest w Niemczech niczem innem, jak szkołą tresury. Chodzi tylko o przygotowanie najmniejszym kosztem największej ilości młodzieńców do spełnienia pożytecznych funkcyj w maszynie socjalnej«. I — można dodać — do popierania rządu ślepo, zawsze i pokornie.

»Cesarstwo niemieckie — sądzi tenże myśliciel — zabija ducha niemieckiego. Zdobycie potęgi kosztuje wiele... Potęga ogłupia. Dziś Niemcy są znużeni duchowo. Polityka pochłania wszystkie umysły poważne. Zwycięstwa Niemiec były dla nich kleską intelektualną; one położyły koniec ich przewadze w sferze myśli. Niemcy od czasów utworzenia cesarstwa są w zupełnym upadku; tłumią kulturę, gdziekolwiek ją znajdą«...

Ta tresura odbywa się oczywiście kosztem wyższych, najcenniejszych pierwiastków duszy. Są one wszakże zbędne a nawet wręcz niepotrzebne i wrogie niemieckiej idei państwowej. Nie z tych pierwiastków, lecz z mniej wartościowych zalet gromady ludzkiej wyłania się organizacyjny kunszt mrówek, ich ład i porządek pedantyczny.

Na tym »Drillu« opiera się państwo jakby na opoce; bez niego armje przypominałyby tłuszcze, uciekające z pod Jeny i Auerstaedtu, a państwo postradałoby swoją spoistość, sprężystość i wielką zdolność agresywną i przy nawskroś małomieszczańskich właściwościach ludności, jej rozbieżności i jej lokalnym patrjo-

4*

tyzmie zamieniłoby się w zróżniczkowany zespół małych państw, aczkolwiek zyskałoby na wewnętrznej wartości i na rzeczywistej kulturze.

O wielkich zdolnościach organizacyjnych Niemców mówi się bardzo często tak, jakby Niemcy mieli na nie monopol i jakby były one przejawem wyższej kultury a nawet genjalności rasowej. Tymczasem swój ład w machinie państwowej i swoją organizacją, jaka przyniosła armji tyle trofeów zwycięstwa, zawdzięczają Niemcy właśnie temu, że nie są narodem orłów i genjuszów.

Taka dobrze funkcjonująca machina państwowa, i to — w skrajnem przeciwieństwie do doskonałej angielskiej machiny państwowej — uwarunkowana tysiącami przepisów i zakazów oraz utrzymywana w karbach przez istną armją urzędników, wychodzących ze założenia, że ogół istnieje dla nich — jest tworem niższych, mniejwartościowych zalet, któremi można się cieszyć ale nie chlubić. Tylko naród przyziemny, materjalistyczny, małomieszczański — naród »Kirchturmpatriot'ów« odrzucających wszystko, co nie przedstawia widocznych, doraźnych korzyści, mógł kreować taką biurokratyczną, arcyskomplikowaną organizację, którą jedynie zarozumiałość germańska może nam podawać za dowód genjalności. Ujawnia się w niej wprawdzie sui generis genjusz rasowy, lecz z genjalnością utożsamia to wyłącznie niemiecki megaloman i powodzeniem Niemiec oślepiony

filister, co w powodzeniu upatruje wszystkie możliwe zalety i jeszcze kilka innych.

Do jakiego stopnia dochodzi manja wydawania przepisów i zakazów owym niedorozwiniętym, pokornym poddanym, okazało się w okresie wojennym, gdy — jak ktoś obliczył — wydawały różne, wyższe władze cywilne w Niemczech dwanaście rozporządzeń — codziennie. A jednak ów przesławny, czyli przereklamowany zmysł organizacyjny, wystawiony w czasie kryzysu żywnościowego na ogniową próbę, zrobił fatalne fiasko. Przepisy, jakiemi władze starały się okiełznać swobodny strumień życia, uregulować podaż i konsumpcję oraz ceny środków żywnościowych, miały skutek wręcz zamiarom przeciwny i w rezultacie uszczuplały szczupłe zapasy. Władze szły od błędu do błędu.

Zadanie to bowiem spadło na naród niespodzianie; trzeba było rozwiązać je spontanicznie. Ponieważ zaś nie przygotowywano się na to przez lat dziesiątki, nie tresowano w tym kierunku, zmysł organizacyjny zawiódł i okazał się wcale nie genjalnym.

Jedynie w epoce praktyczności, wyniesionej przez burżuazję do wyżyn kardynalnej cnoty społecznej, mogła dobra organizacja tak dalece imponować i olśniewać masy.

Spozierając na nią z tego praktycznego stanowiska, nikt nie zaprzeczy jej ogromnej doniosłości. Ona to zamieniła te niegenjalne rzesze knechtów bez etyki i szlachetniejszych

pierwiastków w szczególnie niebezpieczne hordy, zwłaszcza że — tak w wojnie jak w walce o byt nacechowane brutalnością knechtów.

Jak powietrze oddziaływające tylko na skorupę globu, wnętrze jego pozostawia w składnikach niezmienionem, tak stulecia nie naruszają psychiki i charakteru narodów. Pod osłoną zewnętrzności, odnośną epoką uwarunkowanych, tkwi rdzeń ich charakterów nietknięty zębem czasu. Dlatego dzisiejsi zdobywcy Belgji i władcy Kalisza okazali się nieodrodnymi synami Krzyżaków, Wandalów i Hunów.

Góry bezprawia i barbarzyństwa niemieckiego, które niewątpliwie po wojnie tej zajmą całe tomy registracji pamiątkowych i zniesławią tę nację na długo, stanowią tylko dalszy ciąg dziejów i praktyk pruskich.

Wielkopolanie poznali tę brutalność nie tylko w czasach pokojowych. W r. 1848 iście złodziejska landwera pruska odznaczyła się nie tylko niesłychanem tchórzostwem, ale strzelaniną do rozbrojonych kosynierów, oraz — po kapitulacji nikłej załogi polskiej w Książu — mordowaniem oficerów i szeregowców. Po bitwie tej padło więcej Polaków, aniżeli w czasie bitwy. Rzecz to w dziejach naszych porozbiorowych bezprzykładna. Nie ustępuje wszakże praktykowanemu w czasie tej wojny nie raz, lecz wielokrotnie dobijaniu rannych na pobojowisku, »uprzątaniu« mniejszych partji jeńców angielskich i rozlicznym innym wy-

brykom upaństwowionego bandytyzmu, jakiemi brukał się i hańbił oręż niemiecki.

Jednakże Germanja nie widzi nic z tego swemi oczyma, bielmem autoadoracji zasnutemi, a dziwi się, oburza, rozdziera szaty, że widzą to inni. Ona widzi tylko to, co rząd pozwala widzieć, a więc nic nie widzi u siebie złego.

Jak głęboką jest synowska wiara we wszechdoskonałość rządu opiekuńczego, jak głęboko wkorzeniona uległość wiernopoddańcza i niesamodzielność Niemców, zobrazował mi pewien radca rejencyjny, który w czasach gremjalnej głodówki sarkał i szukał kozła ofiarnego w poszczególnych osobnikach, ale nie śmiał podnieść skargi pod adresem rządu. Uspokajał swe obawy, mówiąc z uśmiechem:

— Gdyby miało być jeszcze gorzej, to nasz rząd wynajdzie jakie pigułki, z których kilka wystarczy do całodziennego wyżywienia człowieka....

Rząd za niego myśli i o niego się troszczy, więc radca usnął spokojnie.

Tymczasem pewna Niemka w tymże okresie powszechnego postu wystąpiła w kole znajomych z radą, aby dla zaoszczędzenia środków żywnościowych pozabijano w Niemczech wszystkich jeńców narodowości angielskiej. Gdy zaś ktoś zauważył, że Anglicy mogliby na to odpowiedzieć u siebie zabijaniem pojmanych Niemców, zawołała z najwyższem oburzeniem:

— Das wäre aber eine Gemeinheit! (Ależ to byłoby podłością!)

Autentyczne.

Dla ilustracji duszy pruskiej inny fakt.

W przededniu wojny pewien literat spotkał się w czasie podróży włoskiej na pokładzie statku z majorem armji pruskiej. Okazało się, że major był światłym, wykształconym człowiekiem i wielkim znawcą Włoch. Gdy na podróżnych spadła wieść o wybuchu wojny, pan major, zacierając ręce, ozwał się do literata:

— Teraz nareszcie będziemy mogli Francją zniszczyć i położyć trupem (vernichten)!

Towarzyszowi zdało się, że się przesłyszał.

— Pan chce powiedzieć pobić, zwyciężyć..? — rzekł, lecz pan major pozostał przy swojem i powtórzył z naciskiem:

— Nein, v e r n i c h t e n!!

Nic to dziwnego u Prusaka, który przecież hasło: ausrotten! wypisał na wytartem czole swej polityki w Poznańskiem i wszczepił w tłumy »kulturników«, co »poświęcają się dla ojczyzny niemieckiej«, bo, jak powiedziałem, najlepiej smakuje Prusakowi chleb, jaki wydarł komu innemu.

To »vernichten« harmonizuje całkiem z naturą »tego widziadła«, pod którego stopami »cała kraina w m o g i ł ę z a p a d ł a«.

Niebezpieczeństwo niemieckie ma wieczyste swe źródło w duszy pruskiej, odzwierciadlającej się w brutalnie pojętym dogmacie filozoficznym: siła nadewszystko. Pod kątem psychologji narodowej wyrasta ono do potwornych rozmiarów

trwałego zła, które spętać i ubezwładnić nakazuje instynkt samozachowawczy wszystkich nacji.

Że przemożny wpływ prusaczyzny, że duch Bismarcka pogłębił ujemne strony duszy niemieckiej i sprowadził Niemcy na tę linję pochyłą, po jakiej stacza się obecnie cesarstwo Wilhelma II-go do niechybnej, strasznej ruiny, zrozumiał monachijski profesor etyki, Foerster.

Wbrew kagańcowemu rozporządzeniu, ubranemu w hasło: Burgfrieden!, ośmielił się on wskazać swem piórem na zniepoprawionego ducha niemczyzny jako na praprzyczynę wkraczającego nieszczęścia. I zawołał do rodaków: Umlernen! To znaczy zalecił im wyzwolenie się z pod egidy pruskiej, wstąpienia w siebie i uzdrowienia — jak orzekł Lloyd George — »zatrutej« duszy germańskiej. Oczywiście głos profesora Foerstera nie wywołał jeszcze echa, a ściągnął na śmiałka gromy kolegów, lecz skoro spełni się na Niemcach przeznaczenie i runie gmach ich wielkości, zawtórzą mu niezawodnie inni rodacy. Wtedy przyjdą do percepcji lepsze, — nie pruskie, lecz niemieckie — struny »narodu uczonych« i małomieszczanin, wyzbywszy się snów o imperjum mundi, znajdzie swe szczęście na innym szlaku, w ciaśniejszych ramach.

Ale droga do tego wiedzie tylko po przez gruzy Prus.

I nie tylko do odrodzenia nacji niemieckiej. Do uwolnienia ludzkości od ciężarów zbrojnego

pokoju, do zdjęcia z niej zmory niebezpieczeństwa niemieckiego, do ratunku dóbr kultury, do wyzwolenia tłumionych przez armatę sił i potęg duchowych, do wolności ludów i otwarcia wszystkim przystępu do ery rzeczywistego pokoju.

Z tych racji wojna przez Prusy wywołana stała się krucjatą przeciwko niebezpieczeństwu niemieckiemu.

II.

Idea germańska a polskość.

Że niebezpieczeństwo niemieckie zawisło mieczem Damoklesa nad życiem materjalnem i duchowem narodów, że w wojnie tej rozchodzi się o zenitową kwestję: być albo nie być? czyli: świat czy niemczyzna? — zrozumiały w całej pełni, acz późno, mocarstwa koalicyjne i niemal wszystkie kraje neutralne. A w konsekwencji, to samo hasło, z jakim Prusacy szli ławą na Polaków, rzuciła teraz Europa Prusakom: Ausrotten!

Nie zrozumiał tego jednak jeszcze w znacznej swej części ten naród, który najwięcej — stokroć więcej od innych ucierpiał od zachłanności orła czarnego i któremu triumf Prus grozi zagładą.

Od lat tysiąca wykładali nam Niemcy ogniem i mieczem, czem są i być potrafią, a od lat czterdziestu poprostu trąbili nam to w uszy, uważając żywioł polski za tak marną śmieć, wobec której zbyteczne są dyplomatyczne sztuczki i maski. Pod tym jednym względem nie możemy mieć do Prusaków pretensji; nie okłamywali nas, przeciwnie, robili wszystko co

można, by nas oświecić, obnażyć swą istotę w blasku dnia, oraz wpoić w nas kardynalne prawidło polityki, a mianowicie, że interes i nic tylko interes steruje łodzią państwową.

Zdaje się prawie nieprawdopodobnem, aby miał istnieć tak niepojętny Polak, co nie skorzystał nic z tych długoletnich a bolesnych nauk. Jednakże nie brak takich ignorantów, nawet wśród polityków, jakich legjony wydała ta wojna na świat. Doskonała nieznajomość rzeczy niemieckich pomaga im wybornie do orjentacji niemieckiej; chociaż nikt nie ma prawa do miana polityka, kto nie poznał nawskroś tak arcypoważnego czynnika w sprawach naszych, jak istota Prus i idea germańska.

Nawet w tej dzielnicy, która załamuje się pod obuchem praw wyjątkowych i naporem sprzysiężonych najeźdźców, podniósł głowę zastęp Polaków, co nadzieje swe przypięli do sztandaru prawrogów polskości.

Prusofile poznańscy rekrutują się z wielkich obszarników, t. j. z arystokracji z nikłą domieszką plutokracji nieszlacheckiego pochodzenia oraz z garści niewątpliwych karjerowiczów i zer politycznych, w służbie administracyjnej w Królestwie szukających schroniska przed kulą na polu bitwy.

Arystokracja poznańska wykazuje bodaj wszystkie te cechy ujemne, jakie zwykle vox populi przypisuje tym »najlepszym«. Odgraniczyła się chińskim murem swej wyższości

stanowej od strumienia życia społecznego, z którem łączy ją jedynie to, że tam a nie gdzieindziej posiada źródło swych dochodów. Po za sferą interesów gospodarczych, dzielnicowych, nie ma ze społeczeństwem nic istotnie wspólnego. Dzięki kosmopolitycznym swym skłonnościom wszędzie indziej czułaby się równie u siebie. Względy towarzyskie i klasowe grają w tej sferze stokroć większą rolę od najżywotniejszych interesów ogółu. Polityka arystokracji, czysto dzielnicowa, jest ściśle rodową i stanową i do niej w jej pojęciu winna przystosowywać się polityka narodu.

Arystokracja ma przywileje, ale nie ma poczucia obowiązków narodowych i daremnie szukalibyśmy wśród niej obywatela w większym stylu, na gruncie narodowym stojącego, w jakich obfitowało Poznańskie w zeszłem stuleciu. Nazwiska historyczne nie wywierają magicznego wpływu na tych, co je noszą. Pozostali oni wierni tradycji, nie swych, niekiedy iście polskich i patrjotycznych rodów, ale tradycji średniowiecza. Jak ongi odznaczali się pohopnością do akcji przeciwko państwowości polskiej i z lada elektorem lub Szwedem bratali się do najazdu na Rzeczpospolitą, tak obecnie, od pnia ojczystego odszczepieni, trzymają się fraka pruskiego, przy ogniu rządowym piekąc swą pieczeń, chociażby kosztem społeczeństwa, z którem nie czują, nie pracują, nie żyją.

Prusofile nie wierzą w Polaków, natomiast wierzą w Prusaków, nie wierzą w to, co przy-

rzekał Polakom W. Ks. Mikołaj Mikołajewicz, ale wierzą w to, czego nie przyrzekał nikomu Berlin i Wiedeń.

Zwykle niewiara w Polaków i w Polskę wypływa bezpośrednio z niewiary w samego siebie, z ukrytego gdzieś w głębi półświadomości przekonania o własnej nicości społecznej. Myśl o przyszłej Polsce ma dla istot małego ducha coś przerażającego, gdyż sądzą o tej Polsce ze siebie i czują, jak marną byłaby ta Polska, gdyby opierała się na takich, jak oni filarach. A próżność ludzka i stanowa nie pozwala im przypuszczać, aby w Polsce nie mieli oni grać żadnej roli.

Trudno im wyobrazić sobie Polaków w jedno ciało państwowe złączonych i jakokolwiek istniejących, gdyż jarzmo niewoli weszło im w karki i umysły tak, iż nie pojmują bytowania gromadnego bez policjanta pruskiego z jednej i drugiej strony. Płytkość ich sądów o Polakach i dawnej Polsce idzie ręka w rękę z nieznajomością rzeczy polskich. Na tem podłożu krzewi się bujnie nieufność do narodu polskiego.

Choroba to nie nowa. Na tle klęsk politycznych i wpływów pruskich pojawiła się ona już dawniej. Nawet w epoce pulsującego przepysznie życia polskiego w Poznańskiem — w latach 40 tych zeszłego stulecia — znalazł się obywatel czynny, szerszego pokroju, który dziś świeciłby nad Wartą jako brylant — hr.

Raczyński, który rzekł, że pragnie Polski gorąco, ale — wyemigrowałby z niej.

Wówczas była ta enuncjacja czemś wyjątkowem, może był to tylko lapsus z nastroju chwilowego wynikający, tymczasem obecnie, w czasach upadku ducha w Poznańskiem, ród ludzi bez wiary w naród rozgałęził się niezmiernie, a różni się od takiego hr. Raczyńskiego tem, że ze względów natury ekonomicznej i może innej, wcale Polski nie pragnie.

Natomiast pragnie zwycięstwa Niemiec, zapewniającym nadal agrarjuszom dobrobyt w cudownie uregulowanych warunkach bytowania. Z porządku rzeczy w Poznańskiem jest on zadowolonym, gdyż polityka agrarna faworyzuje i napełnia trzosy ziemian; nie wyrywa się on przeto z myślą do żadnej zmiany, jak ów czyżyk z bajki Krasickiego, co w niewoli urodzony, nie rozumiał starego towarzysza, wzdychającego do wolności. Niewola wyniańczyła prusofilów, Prusy olśniły ich siłą, przepoiły dogmatem: siła nadewszystko, wkorzeniły w nich pojęciowość niewolników tak, że przywiązali się do opancerzonej pięści Bismarckowskiej, śladem Prusaków za wzór wszechdoskonałości im służących. Że ktoś obok nich mógł cierpieć nad pognębieniem żywiołu polskiego, mógł w swej głupiej niepraktyczności śnić o wolności i odczuwać policzki codziennie zadawane polskości przez brutalność knechtów, to rzeczy niezrozumiałe dla nich, gdyż nie mają nic wspólnego z takimi »radykałami.« Są oni

typowymi poddanymi niemieckimi, Niemcami junkrami, źle na polskie przetłumaczonymi, ubiegającymi się o szambelańskie fraki i przestającymi najchętniej z landratami i generałami. Patrząc na nich, zrozumieć można dobrze psychologję Targowiczan.

Dotąd duchem nieobecni w społeczeństwie poznańskiem, prusofile po kilkunastu miesiącach wojny wystąpili na wyludnione i dla innych zamknięte forum. Ukazali się także młodzi ludzie, których dotąd nikt o inklinacje do polityki nie posądzał. Powstały aż dwa dzienniki germanofilskie. Nie z własnej inicjatywy tego stronnictwa. Typowy, serwilistyczny poddany nie robi takiego kroku bez poparcia moralnego i aprobaty władzy. Gdy naczelny prezes prowincji poznańskiej natchnął i popchnął te żywioły do akcji apostolskiej, obywatele ci, którzy z pewnością nie byliby znaleźli w kasach drobnej sumy na jaki tygodnik, co miałby na celu zogniskowanie życia umysłowego i literackiego tej ogłodzonej duchowo dzielnicy, wyasygnowali ogółem około dwa i pół miljona marek. I tak na jedno z tych pism, Gazetę Narodową — według Berlińskiego Tageblatt'u — złożono dwa miljony, aby wskazać niemym »radykałom« — czyli po polsku czującym i na ogólnopolskiem stanowisku stojącym Polakom — na swój wyższy, przez władze opatentowany rozum polityczny i rzec, zgodnie z polityką żydowską, nakazującą bezwzględnie trzymać się strony silniejszej:

»Otóż my, co wierzymy w Niemcy, okazaliśmy się jedynie dobrymi politykami, więc chodźcie za nami — do naszego króla!«

Do »naszego króla« na zamek Poznański prowadził swego czasu obywateli tego autoramentu p. dr. Tadeusz Jackowski z Wronczyna, w którego pojęciu król hakatystów jest snać jednocześnie królem dla Polaków. Mniejsza, że ten król zna jedynie »Prusaków polskiego języka« a o istnieniu Polaków w swem państwie przypomina sobie tylko wówczas, gdy kładzie swój podpis monarszy na nowe, antypolskie »prawo« wyjątkowe.

Po roku wojny, gdy potęga Niemiec wydawała się krótkowidzom zgoła niezniszczalną i niebotyczną w świetle zajęcia Warszawy, nagle rozpisało się stronnictwo ugodowe. Pojawił się szereg naiwnych broszurek, n. p. »Czcze hasła« hr. Fr. Kwileckiego, które zaprawdę umysłowości poznańskiej zaszczytu nie przyniosły, a p. dr. Jackowski obwieścił nam, że nastały »wyjątkowo korzystne warunki do ugody« z Prusakami.

Tymczasem ogół sądzi wręcz przeciwnie. Dzieje germanizacji w Poznańskiem, polityki pruskiej na Mazurach oraz cała psychika niemiecka przekonują nas z ogromną siłą, że im lepiej wiedzie się Niemcom, tem mniej skłonni są do jakichkolwiek ustępstw na rzecz innych. Jest to aksjomatem tak stwierdzonym, że nie powinno być w tej kwestji dwu zdań. Jeżeli, jak p. Jackowski mniema, »podstawą porozu-

mienia winno być poznanie się dokładnie«, to winniśmy mu zalecić gorąco, by najpierw zastosował to przykazanie do siebie i — poznał Niemców.

Tylko z krzyczącej w niebogłosy nieznajomości Niemców i zupełnego zapoznania tego, co dzieje się na arenie wielkopolskiej, mogło wyłonić się takie monstrualne jego zdanie: »Żołnierze Polacy, walczący dziś wiernie za cesarstwo niemieckie, pracują najlepiej nad porozumieniem prusko-polskiem... Krwią swą piszą wielką prawdę, że są równie pożytecznymi obywatelami jak obywatele niemieckiej narodowości«...

Snać p. Jackowski wierzy w istnienie rzadkiego uczucia wdzięczności w stosunkach międzypaństwowych i międzynarodowych a hakatystów uważa za szczególnie przystępnych dla tak pięknych uczuć! Nie wiadomo, czy zazdrościć mu tej złudy czy winszować jako szczególniejszego znamienia wyższego rozumu politycznego. Że już dawniej — n. p. pod Sadową lub Gravelotte — Polacy krwią swą pisali, iż są pożytecznymi obywatelami czyli sługami Prus, a za to pisanie zostali zdegradowani na obywateli drugiej klasy, których się wyłącza, bojkotuje, kopie, szykanuje i wywłaszcza, to uchyla się od wiedzy przywódcy ugodowców.

Polityk, który nie zna pierwszej, kardynalnej zasady polityki, opiewającej, że egoizm narodowy i interes jest bezwzględnym sternikiem państwowym w polityce, robi wrażenie mate-

matyka, nie wiedzącego, że dwa a dwa jest cztery. A kto spekuluje w polityce na wdzięczność — i to na wdzięczność Prus, wbrew tysiącznym głosom prasy niemieckiej, odbierającej brutalnie wszelkie takie złudzenia, wypada po za nawias wszelkiej realnej, rozsądnej polityki i nie ma prawa przemawiać głośno.

Inny wybitny prusofil, książę Ksawery Drucki-Lubecki pragnie »nie ugody lecz zgody« z Prusakiem, a to jego zdaniem osięgnąć można przez zobopólne ustępstwa. Zapomniał wszakże powiedzieć nam w swym »Kraju« jakie ustępstwo na rzecz butnego magnata może zrobić żebrak za bramą stojący w łachmanach, taki »dummer Polake«, i jakie to ustępstwo z jego strony poczyta Prusak za ustępstwo.

Kto choć trochę zna stosunki poznańskie, pouczy tego przybysza z innych stron, którego właśnie nieznajomość bolączek tego społeczeństwa tak dobrze kwalifikuje do przodowania arystokracji — że Prusacy żądają od Polaków wyraźnie i niedwuznacznie jednego tylko ustępstwa, jednej ofiary t. j. przywdziania skóry niemieckiej na wzór Wendów lub Obotrytów. Ofiarę taką uważaliby oni za coś poprostu przez interes żywiołu polskiego podyktowanego a siebie raz jeszcze za dobrodziejów, co w przystępie wspaniałomyślności pozwolili popełnić Polakom tę ofiarę i przygarnęli ich na łono wyższej kultury. Wie to nad Wartą i odczuwa każde niemowlę polityczne, o ile przychodzi na świat z poczuciem narodowem.

W szeregi ugodowców i prusofilów, grupujących się wokoło Gazety Narodowej i Kraju wplatają się osobniki z innych warstw, o których pomówimy poniżej. Składają się oni wszyscy na zbiorowy typ lokalnego Polaka w etnograficznem a nie narodowem tego słowa znaczeniu, którego widnokrąg sięga tylko do słupów granicznych. Jakoż słusznie odróżnia ich Niemiec od t. zw. Nationalpolen, Polaków żywiących ideał narodowy i patrjotów, abstrahujących od siebie i podporządkowujących wszystko sprawie narodu.

Przy boku polityków tego autoramentu należy się miejsce Stanisławowi Przybyszewskiemu. Nie jako politykowi — gdyż jeźli wogóle za polityka uchodzić może, to chyba tylko za przygodną kreacją wojenną — ale jako twórcy panegiryków na cześć niemczyzny, popierającemu i niejako uświęcającemu politykę pana Jackowskiego i towarzyszów pismami do celów agitacyjnych przeznaczonemi. Jego »Polska i święta wojna« rozbrzmiewa dytyrambam filogermańskiemi i zachwytami nad kulturą niemiecką — tą kulturą zachłanną, antyartystyczną, etycznie obniżającą i powszechnie strach siejącą jak dżuma.

Na niwie publicystycznej stronnictwo ugodowe nie miało szczęścia. Ani szczerze pruski, jakby z niemieckiego tłumaczony »Kraj« ani nieudolna »Gazeta Narodowa« nie zyskały oddźwięku i poparcia. A »Polska i święta wojna« również chybiły swego celu. Zapewnia nas

o tem w doskonałej recenzji »Das Literarische Echo« (Berlin 15 Juli 1916) gdzie czytamy: »Książka tego pokroju, w tych czasach wydana, może posiadać dwojaki charakter: albo jest przedmiotową, wyrozumowaną, trzeźwą, polityczną, albo potężnem, żywiołowem porywającem dziełem poety. Książka Przybyszewskiego nie jest ani jednem ani drugiem, albo racze ma z jednego i drugiego mniej dobre strony, a zatem polemiczność i argumentację kiepskiego polityka i retoryczność, kabotyńsko-tragiczną pozę kiepskiego poety. Więc nie można jej nazwać nawet dobrą publicystyką«. Wreszcie sprawozdawca twierdzi, że »książka jest bez znaczenia i bez interesu dla sprawy porozumienia polsko-niemieckiego, które przez takie pisma nie da się wcale wdrożyć«.

A w zapale swym dla sprawy tej Przybyszewski prześciga bodaj wszystkich germanofilów poznańskich; do takiego zachwytu nad tą Wielkopolską, zabijającą kulturę nie wzniósł się dotąd nikt i nikt nie wypowiedział takiego zdania, jakie Przybyszewski wydrukował już dawniej, za akademickich swych dni, po niemiecku, a mianowicie: »Wir sind eine in drei Kriegen zusammengetrommelte Nation«. To znaczy: My Niemcy... i t. d.

Jeżeli pod zaborem pruskim udało się wyhodować Polaków, co patrzą a nie widzą, co mając przed oczyma Prusaka i państwowość pruską w całej nagości, spodziewają się czegośkolwiek dobrego ze strony odwiecznych pra-

wrogów, nic dziwnego, że w innych dzielnicach roi się od ludzi o orjentacji niemieckiej.

Na wytłomaczenie tych rzesz da się powiedzieć, że albo Rosja pochłonęła ich uwagę całkowicie, albo Austrja ukołysała ich w hamaku łask cesarskich. Nie stawiamy ich wcale na tym samym poziomie, co ugodowców poznańskich. Ci ostatni nie nauczą się już nigdy bodaj niczego, jeżeli wysiłki wszystkich magistrów pruskich spełzły na niczem. Przypominaliby oni przysłowie niemieckie: »Nur die grössten Kälber wählen ihre Schlächter selber,« gdyby można przypuścić, że pragną niezależnej od Prus Polski.

Inaczej germanofile innodzielnicowi, ujęci bladą gwiazdą Habsburga lub darami Danaid w Warszawie. Okrom uporczywości przy raz powziętem zdaniu, nic nie stoi na przeszkodzie, aby nie mieli dogonić tego, czego zaniechali i spojrzeć w p i e c z a r ę i d e i g e r m a ń s k i e j.

»Zbawienie nasze tylko w oparciu o Zachód« (czytaj Niemcy). W tem zdaniu, jakie z platformy niemiecko-warszawskiej głosił Wacław Sieroszewski, zamyka się credo stronnictw »niepodległościowych«. A dopełnił je inny pisarz, który ze swych rozumowań historycznych wysnuł przekonanie, że »dla żadnego z państw prócz Rosji, zagłada państwa polskiego nie była koniecznością historyczną«.

Zdanie to podpiszemy całkowicie, jeżeli zamiast »prócz Rosji« powiemy »prócz Prus«.

Na zmianę tę zaś zgodzą się politycy nasi — n. p. Roman Dmowski, Bol. Koskowski i inni, którzy na mocy studjów i rozumowań politycznych uznali całą grozę niebezpieczeństwa niemieckiego dla istnienia narodu polskiego. »Działalność polska bowiem, gdziebądź się przejawia, staje na drodze wielkim planom i zamiarom Berlina«, a więc »polityka pruska rozumie, że między nią a Polakami niema kompromisu«. Wreszcie Klaczko pieczętuje te zdania Dmowskiego, mówiąc: »Prusy, mocarstwo przedsiębiorcze i zachłanne, jest powołane koniecznością dziejową i rasowym fatalizmem do przeciwstawienia idei słowiańskiej — ideę germańską«.

Nie mogą czy nie chcą pojąć tego germanofile wszelkich odcieni, czy to pod firmą niepodległościowców czy inną. Wojują oni stale dwoma argumentami, skrystalizowanemi w tych zdaniach:

1. Przynależność nasza do kultury Zachodu łączy nas z Niemcami.

2. Bądź jak bądź, Niemiec jest lepszym (!) od Rosjanina, bo kulturalniejszym.

Dwa te zdania, dwa curiosa polityczne mają kurs najlepszej monety i brzęczą nam w uszach na każdym kroku, uchodzą za niewzruszone aksjomaty, za dogmaty druzgocące opozycję.

»Przynależność Polaków do kultury Zachodu«, to stereotypowa odpowiedź na pytania, co zaleca nam oparcie o Niemcy.

W braku realnych argumentów posługują się germanofile tym szumnym frazesem, gdyż, jak mówi Goethe, »gdzie zabraknie pojęcia, tam znajduje się pod ręką dźwięk.« Pod określeniem tem rozumieją oni poprostu kulturę niemiecką, będącą bodaj w ich pojęciu tak jak szowinistów nacjonalistycznych nad Sprewą »koroną kultury.« W tej formie podają nam obłudnie niemiecką pigułkę, nie mogąc ani na chwilę odczepić umysłu od Rosji i skupić go wyłącznie i przedmiotowo na Niemcach. O czembądź bowiem myślą, myślą tylko o knucie rosyjskim. A pseudoargument ich powtarzają ludzie, których nic tak nie podbija i nie przekonuje jak frazes, jakiego nie rozumieją.

Z tego ma wynikać, że wchodząc w porozumienie z Rosją, niechybnie sprzeniewierzymy się swej dotychczasowej linji rozwojowej i zejdziemy na niższy stopień kultury, pochylimy się ku upadkowi. A ma się wręcz odwrotnie; opierając się o organizm państwowy silny cywilizacyjnie (a w dodatku zachłanny i groźny), wystawiamy własną kulturę i istnienie narodowe na wielkie niebezpieczeństwo, a, opierając się o organizm cywilizacyjnie bezsilny, zachowujemy pełną moc wewnętrzną i swobodę rozwojową.

Gdyby germanofilom chodziło istotnie o zachowanie łączności naszej z kulturą Zachodu, a nie o przytwierdzenie Polski do rydwanu niemczyzny, staraliby się właśnie odgrodzić nas murem od bezpośrednich wpływów Berlina.

Kultury Zachodu z kulturą Niemiec utożsamiać nie można; nie utożsamiają jej Niemcy, swoją kulturę poczytując za jedynie i skończenie doskonałą. Dlatego to, tłumiąc wszelką kulturę gdziebądź ją napotkają«, jak mówi Nietzsche pragną w swym neomesjanizmie narzucić światu »Deutsches Wesen«, tłomacząc, że tym sposobem »uzdrowią« (sic!) go czyli, mówiąc ordynarnie, wchłoną obce organizmy państwowe w swój własny i zamienią inne nacje w helotów wybranego narodu niemieckiego.

Czyliż trzeba nam poddać się bezpośrednim wpływom Berlina, by nie zerwać nici łączącej nas z duszą Zachodu, by nie cofnąć się na drodze postępu? Bynajmniej. Przeciwnie, ulegając przygniatającej supremacji germańskiej, odłączyliśmy się — jak to chyba jasno okazuje się na Poznańskiem — od prażródeł kultury zachodniej, od Francji i Anglji, zgermanizowali się, nasiąkli emanacjami ducha niemieckiego, który doprawdy uchodzić nie może za kwiat ducha ludzkości. Najlepszym sposobem na to, aby zatracić kulturę i własną i zachodnią jest oddać się w kuratelę Berlina.

Niewątpliwie i od Niemców moglibyśmy uczyć się niejednego. Przeciwko temu nikt nie podniesie głosu. Jeżeli wszakże tak ma być, a jeśli jednocześnie nie mamy zerwać spojeń z Zachodem i, co najważniejsza, utracić samodzielności ducha narodowego, to winniśmy odseparować się od Niemiec pod względem prawnopaństwowym kategorycznie. W prze-

ciwnym razie nie unikniemy natrętnej, niebezpiecznej hegemonji germańskiej, nie unikniemy impertynenckiej kurateli Prus, pod których trującym oddechem karłowacieją i zamierają najcenniejsze walory duchowe każdej, z oddanej im nacji. Wszelkie, jakiekolwiek intymne zbliżenie się Polski do Niemiec, zawiera w sobie niebezpieczeństwo dla narodu polskiego.

Naród, mający rozwijać się bujnie i prawidłowo pod względem kulturalnym, musi posiadać do tego pierwszy, niezbędny warunek, jakim jest swoboda, wolność. W atmosferze wolności zakwita jego własna kultura i dopiero wtenczas staje się on zdolnym i pohopnym do czerpania ze skarbca duchowego innych narodów. Im bogatszą i oryginalniejszą będzie rodzima kultura polska, tem więcej i skuteczniej będzie mógł naród polski korzystać z dóbr duchowych Niemców i innych narodowości.

Jest przytem całkiem obojętnem, pod jakim stopniem geograficznym mieszkamy i na jakiem opieramy się mocarstwie, byle ono nie przygniatało nas przemożnym ciężarem poszczególnej swej kultury. A tego właśnie obawiaćby się trzeba koniecznie ze strony Niemiec. Japonja, tak bardzo odległa od Zachodu europejskiego, zapożyczyła się od niego, od Niemiec zarówno jak Francji i Anglji, bardzo chciwą ręką, więc i nam chyba nic nie stanie do tego na przeszkodzie, chociażbyśmy nie trzymali się niewolniczo Niemców, wznieśli między Polską a zachodniemi krajami mur ochronny,

a nawet chociażbyśmy pod względem państwowym wchodzili w skład Rosji.

Gdyby tak było jak chcą germanofile, Poznań musiałby być środowiskiem o całe niebo kulturalniejszem od Warszawy, która »błogosławieństw« kultury niemieckiej nie zaznawała bezpośrednio. Tymczasem miało się odwotnie; społeczeństwo poznańskie, odcięte przez system pruski od pnia kultury polskiej, zaszyte było w miech niemieckości tak, iż nie widziało świata i skutkiem zaściankowego obskurantyzmu pojęciowego, wypadło po za ramy kultury europejskiej.

Najpewniejszym tego stanu sprawdzianem jest może fakt, że Poznańskie obfituje w bezmiar lokalnych wielkości, wśród których osobniki samoistne szerokiego pokroju wydają się przybłędami i są outsider'ami. Wielkości te tworzą kameryle, w których ciasno byłoby europejczykom. Dla Poznania trzeba się urodzić. Takich osobników zaś Poznań unika instynktowie, o ile nie kraczą jak wrony, nie wcielą się przez parantelę wpływową w miejscowe stosunki, nie wkupią w kamalyrę. Unika się ich i usuwa w kąt jako niewygodnych, bo masy żywią zawsze i wszędzie pewną niechęć dla indywidualności.

Tymczasem Warszawa żyła w całkowitej niezależności duchowej od Piotrogrodu i Moskwy, ogrzewała się przy swem ognisku własnem paliwem, i, zespolona z kulturą nie Niemiec,

lecz Zachodu, wytworzyła czysty typ Polaka stojącego na wyżynie europejskiej.

Pod Rosją żyje się źle, bardzo źle, ale się żyje, a w uścisku Niemiec i ich sławetnej kultury nikczemnieje się, maleje, kurczy, umiera się kulturalnie i narodowościowo. Niemcy działają zabójczo.

Zresztą cóż wart jest rdzeń kultury niemieckiej, takie zachwyty budzącej w Przybyszewskim, Tetmajerze i innych poetyckich politykach? Cóż może być wartą kultura u małomieszczan i knechtów, co wyzbyła się doskonale pierwiastków idealnych, przystosowała wszystko do wymagań racji stanu, zmechanizowała ludzi, sprostytuowała naukę i usłała się przed symbolem Niemiec: armatą?

»Każda cywilizacja, — mówi Norwid — uważana jako skończoność, jest fałszywa i względna, i żadna nie jest ostatecznym i triumfalnym ludzkości owocem«. A Niemcy poczytują swoją cywilizację za skończony, triumfalny owoc swego genjuszu, wkładający na nie misję uszczęśliwienia nikczemnej reszty ludzkości, chociażby — gwałtem.

Houston Chamberlain pisze w swem dziele o prądach cywilizacyjnych XIX wieku:

»Kultura jest sama przez się niczem, bo oznacza jedynie coś względnego. Wyższa kultura może tylko uchodzić za dobro pozytywne, za — postęp, jeśli prowadzi do coraz wyższego, duchowego i artystycznego ukształtowania ży-

cia i do coraz wyższego moralnego piękna (Klärung).«

Czyż kultura Niemców zawiodła ich samych i poddanych im Polaków na szczyty moralnego piękna?...

Ale jednak w pojęciu germanofilów »Niemiec jest lepszym (!) od Rosjanina, bo kulturalniejszym.«

Że jest kulturalniejszym, czy cywilizowańszym, tego nie zaprzeczy może nawet sam Rosjanin. Czy zaś i o ile jest dzięki temu »lepszym«, to kwestja całkiem obojętna, jeźli tego wyrażenia trzymamy się ściśle. Polityka bowiem nie ma nic z etyką wspólnego, nie operuje takiemi pojęciami i nie rozstrzyga akademickiej kwestji, który z tych dwóch narodów jest sam przez się lepszym, lecz traktuje to jako kwestję polityczną, która czysto subjektywnie, pod kątem naszego interesu i dobra narodowego rozpatrywaną być winna.

Z tego stanowiska zaś każda zaleta szczepu niemieckiego — każda zaleta wroga — to zło, to niebezpieczeństwo, to broń przeciwko polskości. Im doskonalszym jest wróg, tem silniejszym, a więc groźniejszym, »gorszym«.

O to abecadło chłopskiego rozsądku rozbija się w nicość ulubiony argument, na którym — rzecz nieprawdopodobna — oparło swą orjentację tysiące Polaków, aby pójść walczyć »ramię przy ramieniu« z doskonalszym, silniejszym, groźniejszym, gorszym naszym wrogiem. Aby pomagać prawrogowi do zwycięstwa nad

słowiańszczyzną, nad światem! Temu prawrogowi »skazanemu przez konieczność dziejową i rasowy fatalizm« na dalsze, konsekwentne tępienie Słowian »bez kompromisu!...«

Jeżeli »zbawienie nasze tylko w oparciu o Niemcy«, to niema dla nas zbawienia...

Orjentację polityczną winniśmy wysnuć z innych podstaw, a mianowicie z odpowiedzi na dwa zagadnienia?

1) Kto dla nas niebezpieczniejszym, Niemiec czy Rosjanin?

2) Która ze stron wojujących może, bez uszczerbku dla siebie, dać Polakom korzystniejsze warunki istnienia narodowego, zaspokoić w większej mierze postulaty polskie?

Na pierwsze zagadnienie odpowiedź brzmi emfatycznie: Niemiec. Zaznaczyliśmy już, że mocą swej wyższości cywilizacyjnej nad Rosjaninem, jest on dla nas groźniejszym. Posiada obce Rosji zalety gospodarcze, a militarnie góruje nad nią znacznie sprawnością i potencjalnością, oraz pewnością siebie i siłą woli. Nadto jest zachłanniejszym.

Zaborczość Rosji jest dynamicznie mniejszą od zaborczości Niemiec, u których wypływa ona z rtęci duszy pruskiej i ogromnego, do ekspansji popychającego rozrostu ludnościowego i materjalnego a weszła w stan patologiczny, obłędny i przybrała potworne rozmiary grozy wszechświatowej.

Zaborczość zwraca się zawsze w kierunku mniejszego oporu. Niemców przeto i Rosjan

popycha ku Wschodowi, t. j. ku Polsce pierwszych a drugich ku Azji. Jeśli Rosja wysunęła swe granice także na Zachód, jeśli powiększyła swe imperjum kosztem etnograficznych ziem polskich, stało się to głównie skutkiem zrządzenia okoliczności, skutkiem napoleońskiego pogromu Prus a nie magnetyczno-żywiołowego zapędu wewnętrznego, jaki od wieków kierował zachłanność pruską przeciwko Polsce i przybrał charakter stałego Drang nach Osten.

Nie dla Rosji, lecz dla Prus zagłada polskości jest koniecznością dziejową. Kto wyrósł na podbojach i grabieży, nadal pójdzie tą samą drogą swego przeznaczenia, kto powstał z niedołęstwa i upadku Polski, będzie nadal starał się utrzymać ją w pognębieniu i doprowadzić do ostatecznej zagłady, w tem widząc korzyść dla siebie.

Jakoż Prusy z wielką wrażliwością odnosiły się do tego, co dzieje się w Warszawie. Czuwały w Piotrogrodzie nad tem, aby nie nastąpiło polepszenie stosunków polsko-rosyjskich, aby Polacy nie uzyskali swobód, nie podnieśli głowy. A kierowały nimi w tej kreciej robocie Bismarckowskiej dwa motywy; wspólnie dokonany gwałt na państwowości polskiej oraz niebezpieczeństwo polskie, utrzymywane celowo przez Prusy, które miało łączyć węzłem Niemcy z Rosją, czyli oddawać Rosję w pewną dyplomatyczną zawisłość od Berlina. Powtóre zaś Prusy lękały się, aby wzmagająca się nad Wisłą polskość nie oddziałała pokrzepiająco i podnie-

cająco na polskie dzielnice zaboru pruskiego i aby kiedyś Polska zmartwychwstała nie upomniała się o to, co jej należy się od Berlina, nie wydarła czarnemu orłowi z pod serca kawału drogocennego ciała.

Sprawa polska jest dla Prus duchem Banka — i straszakiem na Rosję.

Inny jeszcze motyw zniewala Prusy do systematycznego, nieubłaganego gnębienia polskości. »Z upadku Polski wyszła potęga Prus — pisze Roman Dmowski — a dookoła nich skupiły się dzisiejsze Niemcy. Odrodzenie zaś Polski, wystąpienie jej na nowo w roli politycznego czynnika byłoby tamą podboju niemieckiego na Wschodzie i podcięciem panującej roli, jaką odgrywają w Rzeszy niemieckiej Prusy«. Polska stoi na drodze Prusom; hasło: ausrotten! zatem wydziera się z posad najżywotniejszych interesów pruskich zarówno jak z głębin duszy i idei germańskiej.

Dla żadnego z państw prócz Prus zagłada polskości nie jest koniecznością dziejową. Dla Rosji zaś odrodzenie polskości jest dzisiaj absolutną koniecznością dziejową, chociaż jest ona zawsze tak daleką od dobrego zrozumienia swego interesu i chyba dopiero »po szkodzie« będzie »mądrą«.

Na zagadnienie, która ze stron beligerentów może przyczynić się do odrodzenia państwowego Polski na zdrowych podstawach, z której strony możemy oczekiwać »zbawienia«, równie

emfatyczna brzmi odpowiedź: nigdy Niemcy — tylko koalicja.

Wynika to już nietylko z przeogromnej zachłanności antypolskiej i agresywności niemieckiej, ale z takiego a nie innego położenia rzeczy polskich.

W żadnym razie Niemcy nie potrafią rozwiązać kwestji polskiej jakokolwiek chociaż pomyślnie dla nas, gdyż interes pruski na żadnym punkcie pogodzić się nie może z interesem polskim. Absolutna niemoc i bezradność Berlina pod tym względem ujawniła się obecnie tak jasno, że nawet Kraków począł to rozumieć. Ujawniła się zarówno w artykułach dyplomatów i profesorów jak n. p. hr. Monts'a i Schmoller'a, jak w błąkających się za kulisami projektach kanclerza niemieckiego, o którego »niepodległej« Polsce pomówimy obszernie poniżej.

Dość, że Prusy nie mogą wyzbyć się Prus Królewskich i Wielkopolski, nie mogą zjednoczyć etnograficznych ziem polskich a to poczytują za jedyną, zdrową podstawę odrodzonej Polski, w tem przekonaniu, że jedynie taka Polska, na gruzach Prus, miałaby warunki pełnego życia i jedynie takie prawidłowe rozwiązanie sprawy polskiej zapewnić zdoła Europie pokój.

I w tem głębokiem przekonaniu, że wszystko co otrzymaliby Polacy od Prus, okazałoby się trucizną, chociażby miało pozory słodyczy.

Zanim rozpatrzymy tę sprawę, zapytajmy się jak wobec nas dotychczas ujawniła się idea germańska i jakiego »zbawienia« oczekiwać możemy a priori od Niemiec.

Wyjmuję z dziejów jednę tylko, szczególnie w tej dobie godną uwagi kartę, a mianowicie dziesięciolecie rządów pruskich w Warszawie od r. 1795 do 1807. Wtedy to Prusy, w porównaniu z dzisiejszemi, państwo drugorzędne, wyłożyły łopatą Królestwu Polskiemu, co zdziałać potrafią nawet w krótkim okresie czasu, pokazały swe prawdziwe oblicze. Szkoda, że niepodległościowcy widzieć go nie chcą i strusiej chwytają się metody, bo ważny ten rozdział dziejów porozbiorowych zawiera bardzo cenną naukę od mistrzyni życia: historji.

Posłuchajmy lakonicznej charakterystyki rządów pruskich w Warszawie a będziemy mieli przedsmak tego, co jutro zgotowałyby nam Prusy nad Wisłą. Posłuchajmy doskonałej charakterystyki, jaka wyszła z pod znakomitego pióra Juliusza Falkowskiego i znajduje się w zapomnianych dzisiaj »Obrazach z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce«.

»Dnia 9 stycznia 1796 weszli Prusacy do Warszawy i objęli w posiadanie swoje przysądzony im nowy odłam polskiej ziemi.

»Wnet się w nim rozgospodarowali z tą zuchwałą wzgardą dla praw najświętszych, która znamionuje politykę niemiecką wogóle a pruską w szczególności i w lat dziesięć kraj ten tak w kluby swoje

ujęli, tak go przeistoczyli we wszystkiem, do czego rękę swoją przyłożyć mogli, tyle w nim sideł pozastawiali na majątki obywatelskie, na ducha młodych pokoleń i na całą narodowość polską, iż zapewne nie wątpili, że ujrzą go w niedługim czasie zupełnie zniemczonym jak Pomorze, jak Brandenburgja, jak zgoła wszystkie inne składowe części Prus, niegdyś także słowiańskim plemionom wydarte.

»Oto w krótkości, co zrobili już byli z dwóch ostatnich zaborów, gdy zmienną koleją losu Napoleon przyszedł im je wydrzeć.

»Część skrajna od północy tego obszaru polskiej ziemi wcieloną została do Prus wschodnich, druga część złożona z dawnego województwa Płockiego i okręgu Białostockiego utworzyła prowincję nazwaną Prusami Nowo-Wschodniemi, trzecia część obejmująca dawne województwa Gnieznieńskie, Poznańskie, Kaliskie, Sieradzkie, Łęczyckie i część Mazowsza z Warszawą otrzymała nazwę Prus południowych. Na czele prowincji postawiono prezydentów, powiatom dano landratów, miastom stadtratów, gminom justycjarjuszów. Liczbę ogólną urzędów zaprowadzonych przez Prusaków w Prusach południowych i nowowschodnich podaje T. Morawski tylko na — dziewięć tysięcy i te urzędy zajmowali sami tylko Niemcy lub zniemczeni Polacy.

»Niemcy także sami — powiada wymieniony historyk — mieli prawo do dzierżawy

Amtów czyli dóbr i leśnictw rządowych, których liczba szczególnie się powiększyła pod panowaniem pruskiem, gdyż z jednej strony powstanie Wielkopolskie za Kościuszki otworzyło pole do konfiskat, a z drugiej, wbrew najwyraźniejszym zastrzeżeniom traktatów, uległy także konfiskacie wszystkie majątki kościelne, biskupstw, opactw, probostw, kapituł, zakonów.

»Sprowadzono ćmy kolonistów niemieckich i niemieckich wyrobników do wszystkich robót publicznych. Na rzecz panów niemieckich szafowano dobrami skonfiskowanemi, a ku zupełnemu wydziedziczeniu szlachty polskiej zamiast przyrzeczonego Stowarzyszenia kredytowego, jakie już zaprowadzone były na Śląsku, prezydent Prus południowych Jerzy Hoym otworzył pożyczki rządowe na niski procent.

»Użyto na ten cel sum bankowych, kasy inwalidów, nawet kapitałów depozytowych majątku wdów i sierot, w przewidzeniu, które ziściło się niebawem, że szlachta skora do zbytków, korzystać będzie z łatwości pożyczania i z niskich procentów.

»Prawo pruskie zostało wszędzie wprowadzone, zwolna język polski wyrugowany z sądownictwa i administracji, wszystkie zakłady komisji edukacyjnej zniesione a ze szkół wojewódzkich utrzymało się tylko kilka«.

»Okoliczności zewnętrzne — ciągnie Falkowski — dopomagały w pewnej mierze przez czas długi tej przebiegłej, wyrachowanej, z wszelkich skrupułów wyzutej polityce pruskiej.

»Po traktatach 1795 r. w Bazylei a następnie r. 1797 w Campo Formio ceny zbożowe podniosły się do niesłychanej wysokości i już o wiele niżej nie spadły przez cały dalszy ciąg panowania pruskiego w Warszawie. Był to paktol, który się na biedną Polskę niespodzianie rozlał, ale niestety! połączony z ową zgubną łatwością zaciągania pożyczek na hipoteki majątkowe na niski procent, obudził w możniejszej klasie nieprzezwyciężoną chęć do zabaw, zbytków, hulatyk, która wkrótce przerodziła się w szał, jakiego nigdy przedtem nie widziano w kraju naszym«.

Skreśliwszy obraz tych szalonych zabaw, pijatyk i hulatyk, jakim przewodniczyła Warszawa z pięćdziesiątką domów arystokratycznych, pisze Falkowski dalej.

»Rząd pruski jak gdyby liczył z pewnością na podobny nastrój w obyczajach i duchu wyższej młodzieży polskiej, wybrał był na gubernatora dla Warszawy człowieka z łagodnym, cierpliwym, pobłażliwym charakterem, generała Koehlera, który był istnym ojcem, psuj-dzieckiem dla tych rozkiełznanych paniczów. Zwykle, gdy mu donoszono o tych wybrykach, nawet o pobitych przez nich policjantach,

szyldwachach, patrolach, śmiał się z tego i przestawał na daniu im lekkich napomnień. Za to też pokochali go Warszawianie tak serdecznie, że mu pomnik chcieli wystawić po wyjściu Prusaków (sic!)...

»Nie był on jednak niczem innem, jak narzędziem — może tylko bezwiednem — swego rządu, który go stale utrzymywał na jego posadzie właśnie dlatego, że mu te pijatyki i rozpusty młodzieży, te nieustanne salonowe zabawy i t. p. bardzo były po myśli. Patrzał on na nie zdala szyderczem okiem, przekonany, że to ciągłe biesiadowanie panów i szlachty polskiej na grobie Ojczyzny będzie epilogiem naszych dziejów, zgubą ostateczną majątków, ducha i narodowości polskiej.

»W rzeczy samej po dziesięciu latach panowania majątki ziemskie były tak nadwerężone i zagrożone, że większa ich część byłaby niechybnie przeszła w ręce Prusaków, gdyby szczęście wojenne Napoleona nie było go przyprowadziło nad brzegi Wisły. Nadchodził już bowiem termin spłacenia zaciągniętych u rządu pożyczek a mało było obywateli w możności uiszczenia się na czas.

»Gorzej jeszcze było z kapitałami polskiemi, nagromadzonemi dosyć obficie w ciągu zeszłego stulecia. Złożone one były w największej części w różnych domach

bankowych w Warszawie a — wszystkie te domy runęły, podkopane intrygami finansistów berlińskich, którym rząd pruski skrycie rękę podawał«...

Czyż, mając przed oczyma ten obraz rządów pruskich w Warszawie, może ktokolwiek wzdychać za niemi i chcieć się opierać o Prusy, które od tej epoki zaprawdę nic nie uroniły ani ze swych metod germanizacyjnych ani systemów do sproletaryzowania prowadzących.

Nawiasem mówiąc, inteligentny nasz pisarz widzi słusznie w generale Koehlerze, jakim posługiwał się tak podstępnie Berlin, okaz »dobrego« Prusaka, — okaz skądinąd znany, który w rezultacie różni się od złego, brutalnego i wylanego Prusaka tylko tem, że ostatecznie wyrządza nam większą szkodę. Ale, jak naonczas, tak i dzisiaj znajdzie się może w Warszawie tłum Polaków, co, pozory rzeczy biorąc za rzecz samą, gotowi stawiać pomnik jakiemu »dobremu« generałowi kulturalnej nacji niemieckiej i — dać mu się wodzić za nos. Pozorne, błyskotliwe dobrodziejstwa, nic Prusy nie kosztujące, maskują tam bardzo realne ciosy, jakie jednocześnie zadaje społeczeństwu już dzisiaj polityka iście pruska Wilhelma II, osłoniętego wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej. Ale naiwność polityczna walczy u nas o lepsze z rozczulającą nieznajomością Prusaka...

Z tą tak wymowną malaturą Juliusza Falkowskiego przed sobą spytajmy się, czy potężna Rosja przez następne lat sto potrafiła zadać nam — chociaż w przybliżeniu — takie głębokie ciosy, jak słabe, ówczesne Prusy przez lat dziesięć?

Powtóre, niechaj wyobrażenie powie nam, jak przedstawiałoby się przed wojną Królestwo Polskie i Warszawa, gdyby zamiast Rosji orzeł czarny był dzierżył ją w swych szponach i nadal, ze znaną swą systematycznością, bezwzględnością i chytrością, był prowadził swą zabójczą robotę antysłowiańską śladami gen. Koehlera.

A wreszcie, niechaj wyobraźnia odmaluje nam obraz jutrzejszych rządów w Polsce — już nie drugorzędnych Prus, lecz zwycięskich nad światem Niemiec...

Idea niemiecka manifestowała się od wieków i manifestuje bez przerwy wobec polskości jako germanizacja i proletaryzacja.

Ponieważ w naszych kołach agrarnych i innych panuje jakaś zgubna złuda, jakoby »jednak z Niemcami można pracować wydajnie na polu gospodarczem« i ogół czy nie zna karty rządów pruskich nad Wisłą, czy nie wyciąga nauki z tego, co wyżej posłyszeliśmy od Falkowskiego, ani z tego, co ostatnie dzieje Poznańskiego wykazują dowodnie, winienem podkreślić, że germanizacja i proletaryzacja znaczy także tyle co kolonizacja.

Prusacy nietylko śnią w pieśni o rozroście terytorjalnym swej ojczyzny, lecz od zarania swych dziejów pracują bez przerwy nad ciągłem realizowaniem tego ideału narodowego. Wydzierać ziemię innym — to ideał, a kolonizować ją, wchłaniać w swój organizm narodowościowy to przykazanie, jasno przed ogółem wsławione.

Dość otworzyć jaką książkę dziejów niemieckich, przez Niemca pisaną, a zauważymy, że dziejopis ma słowa uznania dla monarchów-kolonizatorów, a surową naganę dla króla, co niczego w tym kierunku nie dokazał. Taki władca sprzeniewierzył się przeznaczeniu i wiecystemu zadaniu swej nacji. Po tej linji bowiem szła historja Prus.

Jest rzeczą oczywistą, że państwo zawdzięczając swe istnienie kolonizacji i to ziem słowiańskich, musi nadal kroczyć tym szlakiem i instynkty swe kolonizacyjne wyładowywać dalej na słowiańszczyznę. »Der Drang nach Osten«, ów żywiołowy zapęd żywiołu germańskiego, podniósłby głowę tem zuchwalej po zwycięskiej wojnie, która imperjalistyczne ambicje Niemiec wyniosłaby aż na słońce.

Wprawdzie w ostatnich latach przemysł krajowy utrudniał materjał ludzki, który byłoby można zużytkować do celów kolonizacyjnych, wszelako poczęto sprowadzać Niemców osiadłych w Rosji, w Galicji i w Siedmiogrodzie i o brak osadników Berlin się nie kłopotał. Chociaż na razie emigracja ustąpiła miejsca immigracji, planowano popchnąć w przyszłości niemieckie

rzesze robotnicze, w przemyśle zatrudniane, na zdobytą rolę, by industrja nie wyrosła ponad głowę rolnictwa, a na miejscu ustępujących drużyn wprowadzić białych murzynów słowiańskich, włoskich lub jakich innych niewolników, wyjętych z pod praw państwowych a nawet ludzkich przez pruskiego junkra.

Wojna otworzyła osadnictwu nowe, ogromne horoskopy. Ujawniło się to odrazu; już w pierwszych miesiącach tych krwawych zapasów odzywały się nieprzeliczone głosy, podnoszące tę sprawę. Izby rolnicze, ekonomiści i publicyści występowali już z konkretnemi projektami kolonizacyjnemi pod adresem rządu i przez wzgląd na te mnogie koła, głównie w Prusiech, wygłaszały zdanie, że pogrom Rosji jest kardynalnym celem wojny, donioślejszym aniżeli upokorzenie W. Brytanji.

W istocie dla Prus pogranicze wschodnie posiada wręcz pierwszorzędny interes i nic dziwnego, że książe Bülow nazwał sprawę polską najważniejszą dla Prus. Obok względów na stanowisko mocarstwowe powojennych Prus grają tu rolę tendencje kolonizacyjne, tkwiące tradycyjnie w narodzie niemieckim.

Szeregowiec niemiecki, pruski »Michałek« wie dokładnie o co się bije. Nie bije się oczywiście o przyspieszenie splendoru koronie Hohenzollernów ani o »miejsce na słońcu«, ale poprostu — o polską ziemię. Karmi ona jego rodaków, co »poświęcili się« dla idei germańskiej i osiedli w Poznańskiem, a jego karmić

będzie jeszcze lepiej ziemia w Królestwie Polskiem....

Godzi się on całkowicie z ekonomistami, izbami rolniczemi i wszystkimi patrjotami w zdaniu, że Królestwo Polskie jest »ein ideales Kolonisationsland«, — przez niemieckiego Pana Boga dlań przeznaczoną ziemią obiecaną. Zaprawdę niema pod tym względem ani cienia wątpliwości.

Jakie to plany kolonizacyjne rodzą się obecnie w narodzie niemieckim?

Istna orgia planów zalewała publicystykę niemiecką. Wśród nawału druków w niemałym można być kłopocie, gdy chodzi o to, by przytoczyć tylko kilka najwybitniejszych głosów.

Przedewszystkiem sięgam po »Archiv für innere Kolonisation«, miesięcznik berliński prof. Schrey'a, który wychodzi z założenia, iż »ziemia podatna do kolonizacji lub oddanie Wschodu słowiańszczyźnie jest alternatywą, wobec której sławi Niemcy oczekiwane zwycięstwo oręża«.

»Albowiem — pisze redakcja — podniecony przez zwycięstwo przemysł krajowy przyciągałby jeszcze w daleko większym niż dotąd stopniu ludność wiejską tak, iż jeden tylko byłby środek zapobiegliwszy, t. j. wytworzenie zapędu na wieś. Dotąd brak ziemi lub, co na jedno wychodzi, wysokie jej ceny uniemożliwiały przeciwdziałanie owej emigracji do centrów przemysłowych. Wojna zatem musi dostarczyć potrzebnej ziemi.«

Z tych samych przesłanek wysnuwały swe plany organy najważniejszych kierunków, zarówno junkerska »Deutsche Tageszeitung«, jak wolnomyślna »Franfurter Ztg.«, żądając zgodnie ekspansji rolnego stanu posiadania na Wschodzie. »Za lat 15 cały zasób ziemi w Niemczech zostanie wyczerpany, więc państwo nasze stało się dla narodu za ciasnem i trzeba pochwycić tę sposobność skwapliwie, by uniknąć tej ciasnoty. Wszelka opieszałość pod tym względem byłaby najcięższym grzechem przeciwko niemieckości« — czytamy w »Süddeutsche Ztg.«

»Ziemie krwią niemiecką zroszone potrafimy utrzymać na wieki! — wołał w parlamencie wybitny poseł Bassermann, a wpływowe »Alldeutsche Blätter« wtórzyły mu: Nasze wojska walczą o większe Niemcy, które dadzą przyszłym pokoleniom możność wydajnej pracy na roli.«

Nietylko dla swego dobra, ale dla dobra... Europy wyciągają Niemcy ręce po polskie tereny kolonizacyjne w Królestwie, które zresztą jest »niezbędnym« Hinterlandem dla Prus Wschodnich.

»Albo uda się rosyjskim mężom stanu uzdrowić spróchniałą administrację a szkolnictwo i gospodarstwo krajowe zostawić na stopie europejskiej, — wtedy kolos rosyjski nie przygniecie. Albo kraj i lud pozostaną w swym nędznym stanie. Wtedy byłoby grzechem i hańbą, gdybyśmy, sąsiedzi,

biernie, ze założonemi rękoma spozierać mieli na to, jak najlepsza pszenna ziemia w Europie marnieje i olbrzymie lasy niszczeją...

»Europa potrzebuje tych obecnie, tak źle wyzyskiwanych, skarbów a my Niemcy potrzebujemy ich najpilniej...«

Ten cudowny kwiatek psychiki i logiki kulturalnych Niemców wpisują w sztambuch obywateli ziemskich w Królestwie, wszystkich agrarjuszów naszych i — wszystkich Polaków wogóle, którzy chyba wreszcie zrozumieją, że, jeżeli Prusacy po wojnie chociażby tylko małą mieli grać rolę w Warszawie, nie zgrzeszą, nie pohańbią się, nie będą spoglądać biernie na lasy polskie i najlepszą pszenną ziemię, których potrzebują tak pilnie. Poświęcą się dla podniesienia tego źle wyzyskiwanego kraju kulturalnie, poświęcą się dla — Europy. Nie obawiajmy się; oni nie shańbią się, jak nie shańbili się dotąd nigdy...

Cały szereg przyczyn, zmuszających Niemców do osadnictwa na ziemiach polskich wylicza dr. Koepker w czasopiśmie: »Um Grund und Boden«. Chodzi mu przeważnie o to, aby Niemcy mogli sami wyżywić się bez trudności — wywozić środki żywnościowe.

Z innego, z — imperjalistycznego stanowiska patrzy na tę kwestję czasopismo »Panther«, tak pisząc z polotem:

»Gdyby dawne marzenia miały ożyć raz jeszcze, owo pełne treści określenie: »pangermanizm« uzyskać miało pełne znaczenie, to jednak Słowianie mogliby wkońcu przedstawiać potęgę większą od Germanów razem wziętych i wtedy losy Europy byłyby rozstrzygnięte. W każdym razie należałoby wypowiedzieć walkę losowi, gdybyśmy już teraz nie byli wytężyli wszystkich sił, ażeby tej ewentualności przeszkodzić i gdybyśmy już teraz nie usiłowali zabezpieczyć się trwale przeciw temu najwyższemu niebezpieczeństwu. A można to uczynić jedynie przez osiągnięcie dostatecznych szmatów ziemi na Wschodzie do rozprzestrzenienia narodu niemieckiego«.

Te tak bardzo interesujące słowa polecić należy już nietylko uwadze wszystkim Polakom, ale także małodusznego Piotrogrodu, który zaiste nie dorósł do zrozumienia tego przewspaniałego momentu dziejowego — do zrozumienia roli prześwietnej, jaką mógł i powinien był odegrać w historji słowiańszczyzny...

A moment ten był dla Rosji owym kwiatem paproci, co tylko raz w tysiąc lat zakwita...

Jakiem byłoby położenie Rosji, gdyby się ziściły marzenia niemieckie i podbój i germanizacja Polski, albo raczej mówiąc po niemiecku »zachodniej Rosji« stały się faktem...? Do tego celu zaś dąży i dążyć będzie zawsze i zgod-

nie cała Germanja, co bądź mówi się oficjalnie lub nieoficjalnie w tym lub owym momencie, który może zalecać albo powściągliwość języka albo obłudną pseudo życzliwość dla narodu polskiego. Czy Berlin zabiera się do odbudowania t. zw. niepodległej Polski, czy wdaje się w inną manipulację polityczną, myśli zawsze tylko o pochłonięciu całkowitem Polski.

Szczerze wypowiada to A. Bartels już w tytule swej broszury: Der Siegespreis — West Russland Deutsch (Weimar) gdzie czytamy na wstępie:

»Niezawodnie uda mi się dowieść, że podbój i germanizacja w zachodniej Rosji (do Dźwiny i Dniepru) jest nietylko możliwą, ale nawet — konieczną, jeśli my Niemcy mamy mieć przed sobą samodzielną przyszłość. Przyszłość nasza nie leży na morzu, lecz na lądzie. Potrzebujemy ziemi i pracy osadniczej, by znów ozdrowieć.

»Nigdy Niemcy nie stały tak wysoko, jak naonczas, gdy rozpoczynały podbój krain na wschód od Łaby położonych«. Takie zdanie wygłosił prof. Einhardt w swej »Historji Niemiec«. Dziś trzeba nam podjąć tę rasową działalność praojców, bo jak przez podbój Łaby staliśmy się właściwie dopiero wielkim narodem, tak przez podbój zachodniej Rosji wyrośniemy dopiero na naród światowy«.

W tym duchu pisze także autor pamfletu: Was werden wir fordern? (Czego zażądamy?)

Lęka się on, aby Niemcy nie dały przystępu... słabości serca i nie okazały się ustępliwemi. Naród niemiecki nie powinien nigdy zapomnieć tych dni, gdy nagle morze nienawiści i zazdrości (!) zawyło dokoła pokojowej (!) łodzi niemieckiej.

Któż wobec tego ośmieli się teraz zalecać nam łagodność i dobroduszność, lub bredzić o pokoju, którego wielkoduszność zapewniłaby nam wdzięczność pokonanych? Nie potrzebujemy wdzięczności! A wielkoduszności nie oczekujemy i nie mamy jej dla nikogo.

»Rozwiązanie problematu nie jest nowem; wynika ono z tysiąclecia naszych dziejów i brzmi: na Wschód! Olbrzymi ten bój narodów musi w razie naszego zwycięstwa sprowadzić wielką wędrówkę ludów. Żądamy ziemi — nie żądamy ludzi.

Prusy wschodnie są zbyt wąskim pomostem do wschodu i krain północno-wschodnich. Należy go rozszerzyć i co najmniej odebrać te dzielnice, które przynależały do Prus do r. 1807 lub lepiej cały kraj po Wisłę (może bez Warszawy). Zamienić go trzeba na niemiecki kraj chłopski. A poza Wisłą aż do Dniepru rozciągać się może polska posiadłość. Może tam powstać ładne (!) państwo polskie, przylegające z południa do drieszan rusińskich, do królestwa Ukraińskiego. W tem Polakom pomożemy«.

Nadto autor pragnie, by Niemcy po zwycięskiej wojnie poczęły kolonizować Kurlandję,

Liwlandję i Estonję i udzieliły im błogosławieństw rządów niemieckich. Wynikiem i dobrodziejstwem tej wojny ma być, że na Zachodzie i Wschodzie powstaną setki placówek i grodów niemieckiej sztuki i niemieckiej pracy.

Pragnienia tego pisarza podpisuje b. radca w ministerstwie spraw wewnętrznych, Rudolf Martin, w rozprawie swej: »Der Weltkrieg und sein Ende« (Berlin 1915), z tą różnicą, że idzie w swych życzeniach do rozbicia i podziału Rosji. Niemcy i Austrja winny według jego zdania zabrać i podzielić między siebie prowincje nadbałtyckie, Królestwo Polskie, łącznie z Brześciem Litewskim i całe południe Rosji wraz z Kijowem, Odessą aż do Wołgi i morza Kaspijskiego... Excusez du peu!

Artur Dix w broszurce: »Der Weltwirtschaftkrieg (Leipzig 1915 r.) pragnie odszkodowania wojennego zarówno w gotówce jak w ziemi, którą przeznacza na kolonizację. »Na Zachodzie mamy Francję, cierpiącą na brak ludności. Nie będzie miała przeto nic przeciw temu, jeśli dostarczymy jej pewnej ilości ludności — w ten sposób, że zdobyte na Zachodzie okręgi rolnicze opróżnimy w celach kolonizacji niemieckiej. Nie myślimy przytem oczywiście podejmować sami tak trudnego i niewdzięcznego zadania, jakiem byłoby wykupywanie ziemi z rąk dawnych mieszkańców i przesiedlanie ich. To musiałoby spaść na barki pobitych. Jako odszkodowanie mają nam oni

oddać kraj nietylko do zarządu lecz na istotną własność. W jaki sposób oczyści się dla nas te ziemie, to ich sprawa«.

Łatwiejszem do przeprowadzenia wydaje się autorowi to zadanie na Wschodzie, gdyż Rosja, jak pisze, przywykła do przesiedlania rok rocznie setek tysięcy ludu wiejskiego, jak to okazuje się z historji osadnictwa na Sybirze. W zajętych przez Niemcy ziemiach, Rosja musiałaby dostarczyć do rozporządzenia władz niemieckich pewnej ilości wywłaszczonych majątków. I tak możnaby wysiedlić urzędników ruskich z ich dotacji, odszkodować gdzieindziej i w ten sposób dać możność Polakom w granicach Prus mieszkających do przeniesienia się w kraj bratni, aby z kolei w Prusiech nowe oddać tereny na użytek kolonizacji niemieckiej.

W tych dążnościach autor nie jest odosobnionym. Nie dość, że niektórzy z wyżej wymienianych publicystów zbliżają się doń w poglądach swych na rozwiązanie tego problematu bardzo, ale w plejadzie broszur są prace, które wprost zalecają metodę przesiedlania, czyli kolonizację zamienną (Austauschsiedelung). Profesor uniwersytetu w Gracu Raymund F. Kaindl pisząc w rozprawie »Deutsche Siedlung im Osten« o zapomnianych osadach niemieckich w Karpatach, sądzi, iż samo przez się rozumie się, iż po zwycięskiej wojnie nastąpią przesiedlania żywiołów niepewnych. Domaga się on rozprzestrzenienia wschodnio-niemieckich obszarów zasadniczych w podbitych krajach,

wszystkiemi możliwemi środkami rządów wojskowych na kresach, oraz zacieśnienia sojuszu między Rzeszą niemiecką a Austro-Węgrami i przyłączonemi do nich państwami południowo-wschodniemi.

O zamiennej kolonizacji rozpisuje się szczegółowiej Johannes Marbod w rozprawie, którą redakcja Archiwa wielce ceni i gorąco poleca. Broszura ta, zatytułowana: Eine Frage Wie erhalten wir der Zukunft die erhebenden Kräfte dieses Krieges. (Berlin 1915) wychodzi z przekonania, że dla zdrowia duszy niemieckiej koniecznym jest wielki, wspólny cel, w którym zestrzeliłyby się wykrzesane przez wojnę siły narodu. W przeciwnym razie siły te zwyrodnieją w »rozwiązłość i brutalność« (Roheit). »A celem tym może i musi być praca zasadnicza na podbitych obszarach ziemi. Oręż je zdobędzie, a wykonanie tego zadania przypadnie tym mężom i organizacjom specjalnym, jakie wytworzyła 25-letnia działalność na tej niwie na Wschodzie niemieckim. Aby praca ta była szybką, wydatną i w wielkim stylu, trzeba posługiwać się kolonizacją zamienną. To znaczy na podstawie układu między dwoma państwami nastąpią zmiany na pograniczu w ten sposób, że właściciele ziemscy kraju Niemcom oddanego zostaną wysiedleni w granice państwa, do którego dotąd należeli... Państwo to zaś będzie musiało odszkodować ich w zupełności za posiadłości, jakie pozostawili z drugiej strony

granicy i jakie przypadną w udziale obywatelom zwycięskiego, zabierającego ten kraj państwu«. Bajeczne!

»Niemiecki ruch osadniczy — pisze w końcu autor, w tę samą uderzając trąbkę — wyładowujący się w dawnych stuleciach na wschód nazwano wielkiem dziełem narodu niemieckiego, gdyż siła państwowa opiera się na tych osadach. Rdzenne ziemie pruskie, to ziemie skolonizowane przez Niemców; obejmują one obszar wynoszący $^3/_5$ dzisiejszych Niemiec. Nie potrzebujemy wszakże pytać się historji, bo położenie nasze w sercu Europy powtarza nam codziennie, że los Niemiec zawisł od osadnictwa pogranicznego«.

Czyż wobec tego faktu ziemianie w Królestwie mogą opierać nadzieje dobrobytu na Niemcach?... Czyż głosy te, będące wyrazem zbiorowości niemieckiej, czyż dzieje rolnictwa w Królestwie za czasów rządów pruskich, czy Flottwell, Bismarck i hakatyści nie odbierają blasków nadziei i nie sieją postrachu?

Zdaje się, iż widząc za kordonem niemieckim prosperujących na roli rodaków, widząc piękne żwirówki, koleje i porządki, wyobrażają sobie ci ziemianie, iż rząd pruski zabiega wokoło dobra polskich rolników i to uprzedza ich tak dobrze dla rządów berlińskich. Tymczasem komisja kolonizacyjna, ustawa parcelacyjna, klauzury osadnicze i dalsze projekty hakatystyczne w tym kierunku wykazują, że rząd zasta-

wiał na Polaków sidła, wznosił zapory i robił co mógł, by wyprzeć ich z roli i uniemożliwić przystęp do niej. Gdyby się było dało, ów »opiekuńczy« rząd byłby chętnie ukuł prawo, wykluczające polskich rolników od korzyści, jakie spływały na nich mimo wszystko, dzięki stosunkom wytworzonym — dla Niemców. Swój dobrobyt zawdzięczał polski rolnik w Poznańskiem owemu przystosowaniu się do społeczeństwa niemieckiego, a mianowicie temu, że bytował pospołu z niemieckimi rolnikami w jednym i tym samym ustroju prawno-państwowym, wreszcie zaś systemowi kolonizacyjnemu dość niefortunnemu ze stanowiska hakatystów systemowi, który wprowadził nad Wartę bardzo znaczne kapitały, wpłynął na zwyżkę cen ziemi i, wbrew przewidywaniom, okazał się dość skutecznym.

Inaczej zaiste, aniżeli w Poznańskiem przed wojną, działoby się po wojnie w Królestwie Polskiem, w kraju czysto polskim a wyodrębnionym tak czy owak od państwowości pruskiej. Tam nie byłoby potrzeby krępowania się względami na niemiecki stan posiadania rolnego i na agrarjuszów niemieckich wogóle. A owych t r z y s t a t y s i ę c y chłopów, jakich Niemcy osadzili dotąd w obcym, niepodlegającym sobie kraju »południowo-pruskim« stanowiłyby forpoczty dalszej kolonizacji.

Czy Niemcy chwyciliby się w Królestwie »kolonizacji zamiennej«, tego oczywiście przepowiedzieć niemożna, ale jest pewnem, a na-

wet — jeśli coś na świecie może być — absolutnie pewnem, że z całą szaloną namiętnością wiecznie głodnego orła czarnego wydzieraliby Polakom ziemię, usuwali im grunta z pod nóg, ulepszając i wzbogacając metody dawniej stosowane w Poznańskiem i Królestwie. Kto o tych metodach pragnie poinformować się dokładnie, niechaj przyjrzy się polityce agrarnej niesłychanie perfidnego Flottwella w Poznańskiem od r. 1830—40, a przewidzi, uleczony ze złudzeń do kulturalnych Niemiec.

Cóż wobec powyżej przytoczonych planów i rozumowań powiedzą ci Polacy, którzy jedynie zbawienie upatrują w oparciu o Niemcy? Chyba zamilkną zrazu, poprostu przerażeni brutalną monstrualnością zachłanności germańskiej, zaczem będą usiłowali bagatelizować te plany jako wybryki jakichś wyjątkowych szowinistów i tłomaczyć, że odpowiedzialni politycy berlińscy, którzy roztaczają przed Warszawą wizję niepodległości, nie przyłożyliby ręki do urzeczywistnienia takich horendalnych postulatów.

Tymczasem żaden Niemiec nie widzi w takich projektach kolonizacyjnych i eksterminacyjnych zgoła nic urągającego prawdziwej kulturze.

Enuncjacje takie, oburzające innych w uczuciach i pojęciach, wygłasza on z całą nieświadomością swego stanu i niepoczytalnością moralną, gdyż, jak to podniosłem już, jest pozbawionym całkiem etyki i przez to różni się tak

od nacji kulturalnych. To co gdzieindziej uchodziłoby za objaw »moral insanity«, nie razi w Niemczech nikogo. Przeciwnie zyskuje ogólny poklask jako wyraz tężyzny narodowej. O tem zapominać nie wolno.

Żaden przeto berliński mąż stanu nie zawahałby się przed wstąpieniem na uświęcony tradycjami Fryderyków i Bismarcków szlak kolonizatorski, na którym leży »przyszłość Niemiec«. Każdy sięgnąłby po łatwe wawrzyny patrjoty powiększającego niemiecką ojczyznę.

W trzecim roku wojny przycichły głośne rojenia o germanizacji »zachodniej Rosji«. Niemcy przypomnieli sobie, że ową zachodnią Rosją zamieszkują Polacy a nawet — o dziwo! — rozprawiają o potrzebie stworzenia niepodległej Polski, gdyż nadzieje ich obniżyły się znacznie, zamiast: musimy zwyciężyć! mówi obecnie berlińczyk: musimy przetrwać!« i liczy się z ewentualną koniecznością opuszczenia Warszawy.

Dopóki wszakże w Prusaku tkwić będzie Prusak, dopóty nie »pohańbi się on«, nie przestanie łaknąć cudzej własności, nie wyzbędzie się tendencyj kolonizatorskich oraz dążności do proletaryzacji narodu polskiego i ekspansji narodowościowej kosztem Słowian. Skoro tylko nadarzy się najmniejsza sposobność, wyciągną się miljony rąk po ziemię polską.

Wszystko nas o tem upewnia i woła: memento!

Jak uzewnętrzniła się idea germańska w zaborze pruskim, wiadomo przynajmniej w ogólnym zarysie.

Wiadomo, że pod hasłem: ausrotten! stosowanem na całej linji, Prusak wszystkiemi środkami państwowemi i rasowemi zmierzał do germanizacji i proletaryzacji Polaków. Znane są triumfy kultury krzyżackiej, długi szereg ustaw i rozporządzeń antypolskich, jakie spadały na Poznań w ostatniem czterdziestoleciu pod firmą koniecznych środków obronnych lub pod maską »dobrodziejstw«. Począwszy od banicji języka polskiego ze szkolnictwa a skończywszy na zakazie zebrań polskich i wywłaszczaniu włości, wszystkie te ustawy wywarły narazie istotne acz przemijające oburzenie we wszystkich dzielnicach polskich. Strejk dzieci szkolnych we Wrześni i wóz Drzymały zyskały nawet rozgłos daleko poza granicami ziem polskich.

Przesuwały się także przed Warszawą, Krakowem i Lwowem cyfry, oświetlające robotę pruską. Można było wyczytać w gazetach, że komisja kolonizacyjna osadziła w Poznańskiem 150 do 200 tysięcy osadników, czyli »odzyskała z tej praniemieckiej przez Polaków zagrożonej ziemi«, że do r. 1906 kosztem 444 miljonów nabyła 306 tys. hektarów ziemi, że ogółem w Poznańskiem mieszka już 35 procent Niemców, o znaczniejszej sile podatkowej od Polaków i t. d.

Każdy inteligent polski wiedział, że rząd

berliński »wzmacnia« czyli popiera niemczyznę na »kresach wschodnich« hojnie, udzielając specjalne dodatki do pensji urzędnikom patrjotycznym czyli hakatystycznym, zakładając kasy pożyczkowe i banki dla dobra stanu średniego, a z drugiej strony środkami administracyjnemi hamuje i paraliżuje parcelację polską i wogóle podcina działalność Polaków na każdym kroku, nie cofając się nawet przed małostkowemi szykanami i szpilkami.

Mimo to ogół polski nie zdaje sobie dzisiaj sprawy co to Prusak, co to germanizacja i napór żywiołu niemieckiego. Nawet głośne fakty z polityki antypolskiej i krzyczące zajścia na tle stosunków poznańskich nie zapisały się głębiej w pamięci ogółu, nie skłoniły go do wyciągnienia z tego wniosków i nauk na dłoni leżących. Wymowne te fakty i zajścia pozostały martwą, zapomnianą literą.

Gdyby było inaczej, cały ogół polski miałby dzisiaj dostateczne wyobrażenie o rozmiarach niebezpieczeństwa niemieckiego; nie pojawiałby się na widowni nikt, co buduje zamki na lodzie austrjackim, oczekuje »zbawienia od oparcia o Niemcy«, przelewa krew pour le roi de Prusse, błąka się po manowcach dezorjentacji i pędzi Polskę w paszczę prawrogiego orła czarnego. Ogół polski byłby miał przedsmak tego, co Prusak zgotowałby ewentualnie Królestwu Polskiemu, świadomość tego, co zgotować mu pragnie i próbę tego, co zgotować potrafi. Byłby wiedział, że Prusak w Warszawie

to szczyt niebezpieczeństwa, że fala niemiecka, zalewająca nasz żywioł od tysiąclecia, grozi ostatniej naszej placówce zagładą.

Niestety nie uświadomiano sobie w Polsce ani czem jest prawo w Prusiech, ani tego, że na prawach antypolskich, poczytywanych snać za jakiś papier bezskuteczny, nie wyczerpuje się arsenał pruski. Prawa w Niemczech znajdują pełne, pedantyczne zastosowanie — wykoszlawione bardzo często, gdy chodzi o ukrzywdzenie Polaka. Nie da się go ominąć jak w Królestwie, nie można uchylić się z pod jego mocy, a jego wykonanie nie zawisło od poszczególnego urzędnika. Każdy czynownik pruski wykonuje przepis, i to tłomacząc go w duchu hakatystycznym. Dlatego ustawa antypolska w Prusiech wyrządza Polakom maksymalną ujmę, o wiele większą, aniżeli taka sama ustawa wyrządziłaby Polakom w Królestwie z ramienia rosyjskiego.

A poza plecami ustaw antypolskich stał — duch pruski, stały tysiące wrzynających się głęboko w organizm wielkopolski Niemców, którzy zautomatyzowani, zszeregowani w jedną armję polakożerczą i zachłanną, rzucali się na skinienie Berlina przeciwko Polakom »na ratunek niemczyzny«. Polityka antypolska Berlina wywołała bezprzykładną w rozmiarach swych i intensywności wojnę wszystkich popieranych w tem przez rząd i podbechtywanych Prusaków przeciwko Słowianom, na użytek »wyższej« rasy niemieckiej przeznaczonym.

Pod skoncentrowanym naporem tego żywiołu i tej »wyższej kultury« wytworzyła się w zaborze pruskim atmosfera wręcz zabójcza dla szlachetniejszych pierwiastków duszy, w których gnieździ się ideał narodowy. Zapanował tam stan, jakiego w Warszawie nie można sobie wyobrazić.

W tem państwie nawskroś policyjnem Polak pędził żywot kreci. Bez przesady można powiedzieć, że nosił on kajdany już od szóstego roku życia, gdy wstępował do germanizatorskiej a ogłupiającej szkoły pruskiej, która okrom wygimnastykowania pamięci i pewnego poznania metodyki nie dawała mu bodaj innego pożytku duchowego. Szedł on przez życie pod strażą policjanta, z poczuciem swego upośledzenia, swej »drugoklasowości« w państwie, swej rzekomej niższości rasowej, swej głębokiej niewoli — poczuciem, które przeszło w instynkt i odbijało się na życiu umysłowem tej dzielnicy — anemicznem i bezpłodnem. W miażmach atmosfery, przez knechtów wytworzonej, skrzydła ducha upadały w prochy.

Niejeden Polak udawał Niemca tak doskonale, tak dobrze przejął się rolą, że zbliżył się istotą swoją do niego, zgermanizował się w bardzo wielkim stopniu. Nie posiadał kultury polskiej, od której pnia odcinał go rząd systematycznie, a z kultury niemieckiej przejął tylko wierzchnią łuskę i tak, podobnie jak Twardowski między piekłem a ziemią. zawisł między dwoma światami: niemieckością i polskością,

wyposażony na drogę życia zdolnością hybrydy, umiejętnością życia w obu tych światach. I tak grzązł w troskach codziennych, w srogiej walce o byt, wśród bojkotu i szykan.

Czego nie zabiły w nim ucisk i niewola, zdziałał nahalny wpływ niemczyzny i niemieckości, obniżającej Słowianina i wreszcie zaraźliwy materjalizm knechtów tak, iż filister, wróg duszy ludzkiej, stał się nad Wartą władzą społeczeństwa i wzorem dla ogółu.

Poznań był miastem niemieckiem, gdzie język polski tolerowano jeszcze na ulicy, a społeczeństwo poznańskie było organizmem o zdrowym żołądku, zdrowych zębach, nogach, ramionach i nerwach, a więc dobrze uzbrojonem do walki o byt, ale cierpiącym na złą przemianę materji, na wadliwy obieg krwi.

Koło polskie w Berlinie dawało dość wierną fotografję moralnego stanu społeczeństwa, jako uosobienie jego małoduszności i upadku ducha.

Gdy poseł centrowy Spahn w grudniu 1915 wystąpił z żądaniami aneksyjnemi, Koło nie wahało się głosować za nim, chociaż przez to podpisywało jutrzejszy zabór Królestwa i dawne rozbiory. Wreszcie wyborcy wywarli nacisk na Koło i rozbudzili je nie do pełnego życia, ale do spełnienia obowiązku. Przyszła im w pomoc ta okoliczność, że było to w końcu r. 1916, gdy gwiazda Niemiec gasła i opozycja huczała przeciw rządowi.

Mniejsza, że w łonie Koła nie można było odnaleźć urodzonego polityka, ale źle, że pa-

trjotyczni jego członkowie nie potrafili nadać reprezentacji polskiej swego charakteru. W istocie trudno mieć wysokie wyobrażenie o Kole polskiem, w którem niedawno zasiadał i grał rolę taki obywatel jak p. Adam Napieralski, wydawca Godziny Polski i innych publikacyj przez berlińskie biuro prasowe finansowanych, w którem figurował taki patrjota jak p. dr. Zygmunt Dziembowski, lub taki p. Franciszek Morawski.

Kto ma swe kryterjum i odwagę spojrzeć w oczy prawdzie przyznawał, iż wielka część ogółu poznańskiego dojrzała wewnętrznie do ostatecznego przyjęcia bierzmowania z rąk Germanji. Nie wyróżniała się naogół inteligencja wiejska, modelująca się na wzór junkra. Dlatego to grupa ugodowców i prusofilów, wyzutych zupełnie z polskości, jakich wizerunek skreśliłem powyżej, nie odbijała jaskrawo od tła ziemiańskiego, lecz wydawała się produktem dość ogólnego, smutnego upadku ducha polskiego. Myśl polska i ideał narodowy kryły się w piersi jednostek, wyodrębnianych przez swą wartość etyczną, oraz wśród niższych warstw, zasilanych cennym żywiołem chłopskim. Z dołu wyrastały młode, silne pędy na drzewie polskiem, obumierającem szybko z góry.

Rządy i wpływy pruskie zadawały narodowi polskiemu najdotkliwszy cios, gdyż zabijały wiarę w Polskę, załamywały ducha, wynaradawiały. Nie można zatem identyfikować systemu rusyfikacyjnego albo raczej bezradności krusyfiatorów i gospodarki czynowników ze

systemem germanizacyjnym, który, nie szczędząc setek miljonów, z rozwiniętemi triumfalnie żaglami sterował do celu i — zbliżał się do niego.

Prusak wydarł nam tyle a tyle hektarów ziemi i tyle a tyle dusz polskich tak, iż polskość w zaborze jego stanęła na krawędzi zagłady. Tymczasem Rosja — 1) nie skolonizowała, nie wchłonęła w swój organizm narodowy ani piędzi polskiej ziemi i Rosjanin był w Królestwie intruzem, który wyszedłszy nie pozostawił wyłomu w machinie społecznej i — 2) nie zruszczyła, nie oderwała od kultury polskiej, nie złamała na duchu i nie podbiła najcenniejszych warstw narodu. Ujawniła całkowitą swą niemoc tak, iż duch i żywioł polski wystawiony w Królestwie na próbę, wyszedł z niej zwycięsko. Zestawienie chociażby tylko tych faktów wykazuje o ile większem od rosyjskiego i jak ogromnie wielkiem jest niebezpieczeństwo niemieckie.

Nie zawcześnie spadł grom wojny na Poznań. Nietylko powstrzymał on rozkład duchowy zaboru pruskiego, ale zelektryzował społeczeństwo w duchowych posadach, ocknął je gwałtownem uderzeniem z letargu, dziwnie konanie przypominającego, gdyż rozpętał ewentualności, wydobył na jaw sprawę polską i zapalił przed Poznaniem magiczną, odczadzającą gwiazdę nadziei narodowych.

Jeżeli Prusacy przed wojną doprowadzili dzielny, wolą życia silny żywioł — od którego Polska w innych okolicznościach mogłaby obie-

cywać sobie niemało — do takiego rozpaczliwego stanu, co osiągnęliby w Poznańskiem i co przedsięwzięliby w Królestwie po zwycięskiej wojnie już nie Prusy z przed stu laty, lecz wszechpotężne Niemcy, umocnione przez powodzenie w swych maksymach? Nie cofnęłyby się przed niczem, z wzmożoną zachłannością napierając na żywioł polski, bo niema zgoła nic tak bezecnego, czego nie przedsięwziąłby Prusak, gdy przyświeca mu cel egoistyczny.

Zwycięstwo Niemców — to niechybny i szybki koniec polskości w zaborze pruskim. Gdyby rozbudzone nadzieje w Poznańskiem miały zagasnąć i sprawa polska miała utonąć w silnym uścisku Germanji, mrok ogarnąłby umysły i upadek ducha byłby ostateczny, zwłaszcza, że jednocześnie aureola zwycięstwa niemieckiego podziałałaby na masy podbijająco, utwierdziła je w nieufności do siebie i przekonała o wyższości niedościgłej, wszechdoskonałości i wszechpotędze Niemców.

A nowe ustawy antypolskie, z jakiemi Berlin nie omieszkałby pospieszyć się, by raz skończyć i germanizację kresów wschodnich, dobiłyby umierającego nad Wartą ducha polskiego. Wyczuwając unoszące się już przed wojną w atmosferze nowe gromy, Poznańskie oczekiwałoby w następstwie zwycięstwa niemieckiego zakazu wydawania gazet polskich, rozciągniętego na całe Niemcy, rozwiązania wszelkich towarzystw polskich, okrom czysto religijnych, oraz forsownego stosowania wywłaszczenia wobec wszyst-

kich podejrzanych o polskość ziemian i t. d. Ogół niemiecki podjąłby ze znanym zapałem hasło: alles deutsch! i postarałby się o to, że język polski na ulicach uchodziłby za obrazę niemczyzny i podburzanie Niemców do gwałtów przeciw Polakom. Człowiekiem byłby tylko Niemiec i nad Wartą zapanowałby pokój śmierci.

Olbrzymia, triumfalna fala germańska rzuciłaby się na Warszawę. Zlatywałyby się z Niemiec ćmy kolonistów, stada głodnych sępów krzyżackich na żer zakutego w kajdany Polaka...

Wszystko, co powiedzieliśmy o Prusaku i idei germańskiej, potwierdza prastare przysłowie: póki świat światem, nigdy Niemiec nie będzie Polakowi bratem, upewnia nas, że triumf idei germańskiej niesie zagładę polskości i wydaje jako kwintesencję dogmat: tylko na gruzach Prus odrodzić się może orzeł biały.

Powiedział nam to bardzo wyraźnie Bismarck, którego duch komenderuje dzisiaj Niemcami, zarówno swemi czynami, jak słowy, między innemi pozostawiając Niemcom w spuściźnie taką ewangelję: »mając za plecami Polskę, nie moglibyśmy utrzymać linji Renu«.

Że istnienia Polski Prusy nie mogą sobie serjo pomyśleć, poucza nas pamiętnik Bismarcka, gdzie czytamy:

»Gdy w końcu roku 1887 zanosiło się na wojnę między Austrją a Rosją, Bismarck, mając dać swoją sankcję, ozwał się do ambasadora w Wiedniu: »Co uczynimy, pobiwszy Rosję? Czyż może odbudujemy Polskę? W tym razie musielibyśmy za lat 20 nowy zawierać sojusz trzech cesarstw, celem nowego, czwartego podziału Polski. O tę przyjemność zaś nie warto właściwie prowadzić wielkiej i ciężkiej wojny.

Nie inaczej myśli ks. Bülow. Widzi on, że między Niemcami a Polakami, rasą niemiecką a słowiańską leży przepaść ogromna jak wieczność, której nic mostem złotym nie wyrówna. »Monarchja pruska — przypomina ziomkom w swej księdze, ogłoszonej w r. 1916 — wzrosła

na gruzach Rzeczypospolitej i orzeł czarny wzbił się wzwyż, dzięki pokonaniu orła białego.« »To co miecz niemiecki siłą niemiecką z krwią niemiecką wywalczy dla sprawy polskiej, nie może w następstwie przynieść szkody niemczyźnie«. Nie! Musi przynieść jej korzyść. A wszelka korzyść dla niemczyzny niesie z sobą ujmę dla polskości.

Że »tylko na gruzach Prus mógłby odrodzić się orzeł biały« powiada nam dosłownie organ dzisiejszych Bismarckowców: »Zukunft« (Berlin, 17. Oktober 1914) »Niemcy nie prowadzą wojny, aby pokarać grzeszników lub wyzwolić ujarzmione narody i wygrzewać się następnie w świadomości bezinteresownej szlachetności. My prowadzimy wojnę oparci na skale przekonania, że Niemcy zyskają za swój wysiłek więcej miejsca na ziemi i większą sferę działania i — że muszą to zyskać«. »Obok królestwa pruskiego, które nie chce zrobić sobie ujmy, nie może nigdy istnieć państwo polskie.« »Zbyteczną i bezowocną było zawsze rzeczą, wybijać Polakowi z głowy wizję orła białego, więc tylko na gruzach Prus mógłby orzeł ten wznieść swe skrzydła...«

Tak, tylko na gruzach Prus...

III.

Odrodzenie Polski.

Nie na gruzach Prus... Dnia 5 listopada 1916 posłyszeliśmy, że obok Prus ma z inicjatywy i łaskawości Berlina powstać Królestwo Polskie.

Dziwna ironja losu! Mocarstwo, które dało pohop do dwóch rozbiorów Rzeczypospolitej, które tępiło Polaków i polskość, »koniecznością dziejową i rasowym fatalizmem« kierowane, przyrzeka teraz powołać niedobity naród polski do życia państwowego. Wilhelm II występuje w roli kontuszowej wskrzesiciela Polski, Prusak w masce przyjaciela...

To samo już usposabia z góry bardzo sceptycznie wobec zamiarów Berlina i przyrzeczonej jego kreacji, budzi głęboką nieufność. Kto odnosił się odpornie do manifestu W. Księcia Mikołaja Mikołajewicza, i teraz manifestu Wilhelma II nie powinien chyba przyjmować bezkrytycznie, gdyż wobec darów prawroga, cisną się na usta słowa: Timeo Danaos et dona ferentes.

Zaprawdę jest dar czysto pruski.

Prusy zawsze chętnie dawały innym to, czego nie posiadały. Przed Sadową ofiarowywały Francji Belgję, przed Sedanem darowywały Rosji cały Wschód, przed obecną wojną częstowały W. Brytanję najlepszemi kolonjami francuskiemi. Obecnie — w opałach — dają nawet coś Polakom: część swej zdobyczy na Rosji, jakiej nie posiadają jeszcze definitywnie, oczywiście swoje polskie ziemie jako »praniemieckie« wykluczając nietylko z jutrzejszej Polski, ale bodaj nawet z wszelkiej dyskusji.

Jest to zatem dar połowiczny i — przedwczesny. Od lat 150 czeka naród polski na niepodległość, więc doczekałby cierpliwie do końca wojny na spełnienie swych marzeń, ale Berlin zapłonął raptem tak niepohamowaną żądzą uszczęśliwienia Polaków, że nie może doczekać kresu bojów. Tyle dziesiątek lat istniały Prusy bez państwa polskiego przy boku, teraz, w czasie zawieruchy wojennej, nie mogą bez niego żyć, tak rozpiera je i ponosi szlachetność!

Dar to warunkowy, szalbierski, zdradziecki. Królestwo polskie ma powstać... po wojnie, tymczasem Niemcy chcą skapitalizować wdzięczność polską; ma powstać natychmiast armja, która walczyłaby za króla pruskiego lub, jeśli kto woli, za niemieckie Królestwo Polskie. To weksel bankrutującego na niepewną przyszłość, to obiecanka znanego oszusta, za którą żąda on bezzwłocznie zapłaty: krwi polskiej.

Sam fakt, że właśnie ze strony Niemiec wychodzi inicjatywa do wskrzeszenia państwa polskiego, nie przeczy zgoła niczemu, co powiedziałem wyżej, nie obala przeszłości i — nie oznacza zboczenia od polityki Bismarckowskiej.

»Nawet Prusy — pisze Klaczko — mogą w danych okolicznościach podjąć kwestję polską, ale inaczej niż gabinety Londynu i Paryża. Już w roku 1871 o takim »ciosie w serce Rosji« mówili zaufani pruskiego ministra węgierscy mężowie stanu. Nie może tu być prejudykatem postępowanie Prus podczas ostatniego powstania w Polsce. Przecież zawzięte mowy Bismarcka przeciw Węgrom nie przeszkodziły mu w wiele lat później do zbrojenia legjonów węgierskich generała Klapki przeciwko Austrji. Nie zaprzeczy też nikt pruskich zamiarów w r. 1863 na lewe brzegi Wisły, tę »naturalną granicę« dla Prus. Przyjaciele berlińscy Bismarcka nie przestają twierdzić, że byłby to jedyny skuteczny środek zakończenia z duchem polonizmu...«

Polityka jest sypaniem grobli według stawów, przystosowywaniem się do okoliczności. Nie jest zatem wcale rzeczą wykluczoną, że i żelazny kanclerz podjąłby już w tej chwili kwestję polską, chwycił się w opałach i tej deski, zatknął ku radości Polaków polską chorągiew na zamku królewskim w Warszawie roztoczył przed nimi w perspektywie czarowną,

a złudną wizję królestwa polskiego. Akt pana Bethmann-Hollwega posiada charakter bismarckowskiej polityki — lisiej i zdradzieckiej.

Wynika on bez najmniejszej wątpliwości z poczucia wzmagającej się słabości. Mocarstwa centralne opadają na siłach, nastrój pesymistyczny coraz więcej ogarnia umysły i nikt już w Niemczech nie marzy dziś o zwycięstwie takiem, o jakiem śniło się w zaczątku wojny. Gdyby świetne te nadzieje dziś jeszcze roztaczały swe blaski, nie słyszałby nikt w Niemczech o Królestwie Polskiem, lecz raczej o »zachodniej Rosji«, nikt nie zastanawiałby się nad tem, jakiego króla osadzić na tronie polskim, lecz czy rozebrać ten kraj między Austrję i Niemcy, czy nowy zabór jako Reichsland przyłączyć do Rzeszy, czy wcielić do Prus. Jednocześnie toczyłyby się dyskusje nad metodą, jakiej chwycić się należałoby przy kolonizowaniu tych ziem, i nad sposobami jaknajszybszej ich germanizacji.

Ale nadzieje zawiodły i Niemcy nie spodziewają się, aby przy układach pokojowych udało im się wytargować dawne Nowo Wschodnie i Południowe Prusy jako zdobycz. A trudno im wyrzec się tego »niezbędnego« Hinterlandu dla Prus Wschodnich, tego »idealnego do kolonizacji kraju«, tej »naturalnej granicy« Prus. Więc trzeba wszcząć taką grę, aby naiwni Polacy pomogli Niemcom do uzyskania hegemonji nad Warszawą, do wyniesienia z fatalnej tej zawieruchy chociażby tej korzyści. Czego nie

uzyska na kongresie sam Niemiec, to może osiągnie dla niego Polak, jeśli obstawać będzie przy niemieckiem Królestwie Polskiem. Trzeba zatem zjednać go sobie, aby przez niego i — na nim zrobić interes.

Zadanie to nie trudne — sądzi widocznie Berlin. »Die dummen Polaken« dadzą się podlić lada świecidełkiem, bo jako naród niewieści biorą pozory rzeczy za rzecz samą i wszystko co się świeci, za złoto. Dość powołać do życia na prędce lada jaki uniwersytet, urządzić im uroczystość narodową, zawiesić orła białego na jakim gmachu, a zaraz myślą, że to — niepodległość, Królestwo Polskie. Zabawa ta, nic Berlin nie kosztująca a kaptująca Polaków, nie przeszkadza Niemcom wcale rujnować jednocześnie kraj ten, a więc, wytworzywszy sztuczne bezrobocie, wywozić gwałtem robotnika polskiego do Niemiec i wykradać z Polski środki żywnościowe.

Gra ta nie pociąga za sobą konieczności symulowania nagłej sympatji dla Polaków w Prusiech przez zniesienie praw antypolskich i radykalną zmianę polityki w Poznańskiem. Prusak potrafi jednocześnie miłować Polaka w Warszawie a uważać za wyjętego z pod prawa Polaka w Poznaniu. Srodze rozgniewanych manifestem polskim i zatrwożonych o swój stan posiadania Niemców uspokaja pan Bethmann Hollweg oficjalnem zapewnieniem, że zabór pruski pozoztaje »raz na zawsze ściśle z Prusami połączonym«. Pijani niepodległością

Polacy w Warszawie przejdą nad tem do porządku dziennego; taki pan Studnicki wytłomaczy tym, co mieliby chęć zastanowić się nad tą dwulicowością Prus i niekonsekwencją w postępowaniu, że »i Prusy przecież mają prawo do życia«, więc zjeść muszą swych Polaków. Zresztą cóż wobec... »niepodległości« znaczy Poznańskie, Prusy Królewskie i Gdańsk?

Zle stoją interesy niemieckie; jeśli trzeba uciekać się do spekulacji na skórze polskiej, lecz — trzeba. Nie mogąc poprostu zaanektować tego pogranicza, trzeba przynajmniej oderwać je od Rosji i stworzyć z niego placówkę niemiecką, gdzie Niemiec byłby uprzywilejowanym, interes Prus nietykalnym, towar niemiecki pokupnym i gdzie dałoby się jednak kolonizować ziemię Niemcami przez »prywatne« Bauernbanki, z ramienia Berlina powstające i z tajnych funduszów skarbu państwa finansowane. Zamiast słowiańskiej Polski o wiele lepsza niemiecka Polska, przez Niemców (i żydów) swobodnie eksploatowana. Z taką Polską przy boku zbankrutowane i upadłe Prusy bądź jak bądź pokaźniejszą miałyby minę w koncercie państw Rzeszy Niemieckiej, ogromnie na nie oburzonych, i wobec Rosji zarówno jak Europy poważniejszą przedstawiałyby cyfrę.

A więc nie chodzi tu o bagatelę.

Tymczasem zaś to obiecane Królestwo Polskie — w tej chwili wiele potrzebniejsze Niemcom aniżeli Polakom — musi spełnić dwa bardzo ważne zadania: po pierwsze musi do-

starczyć żołnierza »wybawicielom z pod jarzma rosyjskiego«, a po drugie być »ciosem w serce Rosji«, tej niegodziwej Rosji, która nie chce zawrzeć z Berlinem pokoju na własną rękę i wrócić do czasów błogosławionej od niego zawisłości.

Od chwili zajęcia Warszawy oko pruskie wzdrygało się na widok tylu a tylu młodych Polaków, nie zaciągniętych w szeregi rosyjskie, pruska dusza cierpiała nad takim nieporządkiem srodze, a pruska głowa snuła plany, jakim fortelem dostaćby te zastępy młodzieży, te tysiące jeńców narodowości polskiej i te drużyny »ruskich kosiarzy«, internowanych w Niemczech (niekiedy w więzieniach!) w swe mundury, pod swoją komendę.

Dlatego to Hindenburg, Ludendorff i inne osobistości popierały podobno śmiały plan kanclerza. Bez ich aprobaty nie byłby on odważył się chyba na krok dlań tak niebezpieczny, wbrew potężnej »frondzie antykanclerskiej« i ogólnemu antypolskiemu usposobieniu Niemiec, które naprawdę marzyły o całkiem innem rozwiązaniu sprawy polskiej — o szybkim »skończeniu z duchem polonizmu«.

Aby zamknąć usta opozycji, kanclerz rozwiązał parlament w momencie odpowiednim, zacisnął jeszcze mocniej śrubę cenzury iście niemieckiej i tak, lubo stłumił tę opozycję tylko pozornie, sprawił, że przyszli do głosu jedynie prawie ci, co go rozumieli, ci, co uważali obiecankę Królestwa Polskiego za dobry środek do

celu, potrzebą uświęconego — do powiększenia armji niemieckiej, do pozyskania tak pożądanego »Kanonenfutter«.

Wczoraj sprowadzili Niemcy na rzeź pułki słowiańskie, dzisiaj formują kadry polskie, a jutro, gdyby dało się jakim cudem, próbowałyby werbować sobie Abisyńczyków lub Hotentotów kosztem obietnic, których zrealizowanie jest jeszcze za górami. Niemiec potrzebuje żołnierza, więc któż ma go dostarczyć, jeśli nie Słowianie, którzy ongi nieraz pomagali mu przeciwko Słowianom?

A jak będzie ze zapłatą?... Zobowiązania, traktaty, przysięgi królewskie — o takie rzeczy Prusak nie potykał się nigdy na swej drodze historycznej. Przedzierał i deptał traktaty jako »szmat papieru«, król pruski łamał najsolenniejsze przysięgi. Kto zna Prusaka, nie przypuszcza ani na chwilę, aby Wilhelm II miał »pohańbić się« dotrzymaniem przyrzeczenia, miał powołać do życia Królestwo Polskie, o jakiem śni się panom Brudzyńskim w Warszawie, gdyby udało mu się wydobyć z matni, w jaką zawiodła go zachłanność, i gdyby uzyskał moc dysponowania »zachodnią Rosją«.

Jednakże przypuśćmy tę rzecz zgoła nieprawdopodobną i rzućmy okiem na obraz takiej powojennej kreacji Berlina, oklaskiwanej dziś z góry przez ugodowców i prusofilów poznańskich, i upragnionej przez »państwowców« warszawskich.

Byłaby to Polska niewolnicza, zamierająca w żelaznym uścisku Prusaka, którą chyba nowa krucjata antyniemiecka mogłaby uratować od niechybnej zagłady.

Na tej nieszczęsnej Polsce odbijałby Prusak, o ile tylko możliwe, choć w części to, co postradał w fatalnej tej wyprawie po »miejsce na słońcu«. Ktobądź panowałby w Warszawie nominalnie, król czy inny figurant, Habsburg, Hohenzollern czy książę bawarski, panowałby jedynie minister niemiecki, czuwający, by sejm nie uchwalił żadnej ustawy, mogącej dźwignąć kraj pod jakimkolwiek względem, by nikt nie przedsięwziął nic dla dobra narodu polskiego. Natomiast sejm uchwalałby ustawy korzystne dla Prus i niemczyzny. Minister berliński byłby osią i sprężyną wszelakiej akcji państwowej, absolutnym panem, pod którego ciężkim berłem dławionoby w biały dzień wszelką opozycję.

Stosunek Polski do Niemiec ukształtowanoby z góry tak, że pod względem ekonomicznym handlowym i gospodarczym kraj grząłby beznadziejnie w pętach interesów niemieckich. Polska byłaby tylko dalszym ciągiem sfery niemieckiej, byłaby śpichlerzem i warsztatem wytwórczym dla Niemiec. Pracowałaby ona li tylko dla Niemiec i to za ceny przez nie wyznaczane, a więc jałmużnicze. Odgrywałaby zupełnie tę samą nikczemną rolę wobec Berlina, jaką ma roboczy lud polski, emigrujący za chlebem w głąb Niemiec, wysługujący się brutalnym junkrom niby bydełko pociągowe i traktowany nad wszelki wyraz haniebnie.

Oczywiście na kopalnie, na wszystkie źródła złotodajne w Polsce Prusak położyłby rękę. Jego kapitały, jego dzieci opanowałyby te źródła i pod taką firmą czy inną wykupywanoby majątki ziemskie, dążono sztuczkami bankierskiemi do bankructwa ziemian polskich i osadzanoby chłopów niemieckich. A skrępowany rząd polski nie mógłby zgoła nic przeciw temu przedsięwziąć; i przeciwnie, musiałby kiwać głową jak manekin i przybierać maskę człowieka zadowolonego.

Zbytecznie nadmieniać, że rolę policjanta i stróża pokoju tego państwa spełniałby Niemiec. Gdyby nie dało się zabezpieczyć przeciwko zachciankom Polaków przez załogi niemieckie, postaranoby się o to, aby polska siła zbrojna, liczebnie jaknajmniejsza, nie mogła zagrażać Prusom i stanowić podpory władzy krajowej. Wojsko polskie miałoby niemieckich instruktorów i sztabowców.

Z tego stanu rzeczy wyłoniłaby się »konieczność« kształcenia adeptów sztuki wojskowej w Berlinie. Wogóle młodzież akademicką przynęcanoby do korzystania z instytutów naukowych w Niemczech, z dobrodziejstw wyższej kultury germańskiej. Duch niemiecki unosiłby się nad krajem, wchodził drzwiami, wkradał się szparami literalnie wszędzie.

Gdyby Polska miała szarpnąć ciężki łańcuch, przykuwający ją do Berlina, gdyby miała śmielszym odruchem zdradzić popęd do niepodległości, Niemcy — o ile temu nie zapo-

biegłaby Europa — musiałyby wcielić ją w swój organizm państwowy, i to »właściwie w interesie Polaków samych«. Wytłomaczyliby im to bardzo ładnie i ministrowie i prasa i profesorowie niemieccy.

Nastąpiłoby to zresztą i tak, jako naturalne dalsze ogniwo systemu niemieckiego, nawet wtenczas, gdyby rząd polski był powolnym pachołkiem Berlina. Mianowicie wtenczas, gdy Królestwo, germanizowane coraz natarczywiej, dojrzałoby do aneksji, stało się krajem »właściwie niemieckim« albo raczej — jak wnet udowodniliby to profesorowie — »praniemieckim« i całą swą kulturę, wszystko dobre zawdzięczającym wyłącznie Niemcom, którzy wyprowadzili Polaków z niewoli rosyjskiej...

Pod bezmiarem t. zw. łask, dobrodziejstw i ofiar dla Polski, Polska padłaby w otchłań »uczuciowej i sentymentalnej« Germanji...

Tak w ogólnym zarysie przedstawiają się aproksymatywnie losy Polski, przez Niemców kreowanej i pod ich hegemonją pozostawionej.

Prusak w Warszawie, to dla narodu polskiego maksymalne zło.

Ci panowie politycy, co z różnych wypełzłszy kątów na arenę, dzisiaj wyciągają ramiona do tego zła, jakie świat cały chce zdławić w swej opancerzonej pięści, na tej opoce piekielnej szukają oparcia i zbawienia — ci panowi politycy, co przemawiają i działają za naród polski, padając w proch przed tronem Prusaka, tego antychrysta ludzkości, staną przed trybunałem historji..

Ale potęga Prus kruszy się na miał...

Skutkiem tego Prusak wykrztusił wstrętne słowo: »Królestwo Polskie...«, aby dostarczyło mu bojowników i taranem uderzyło w serce Rosji.

Czy ta spekulacja powiedzie się kanclerzowi, czy nie przyczyni się do jego upadku, dalej, czy naród polski da się wywieść na manowce za — nie szumną nawet, ale świetnie inscenizowaną obietnicę wiarołomnego Prusaka, i poświęci dlań bezmyślnie strumienie krwi swojej — przyszłość okaże.

Wówczas też dopiero, gdy historja uchyli rąbek na arkana polityki berlińskiej, okaże się, do jakiego stopnia p. Bethmann Hollweg spodziewał się zadać cios Rosji tym aktem i jakie z nim łączył nadzieje.

Mimo to warto może zapisać tu przypuszczenia, jakie nasuwa ten krok antyrosyjski, chociaż ex posteriori wydaćby się miały mylnemi.

»Zwycięskie a beznadziejne« Niemcy pragną obecnie całą prawie zbiorową duszą pokoju, którego koalicja z niemi zawrzeć nie chce, licząc na dobrego swego sojusznika: na czas. I Rosja upiera się przy dalszych bojach, jakby pragnęła odzyskać Warszawę.

Rozwiązując teraz pospołu z Austrją i w pozornem porozumieniu z narodem polskim sprawę tę, ogłaszając zapowiedź Królestwa Polskiego, Niemcy pragną demonstrować Rosji, niejako pięścią pod nos, że sprawę polską zaprzepaściła,

że została usuniętą od głosu w tej tak ważnej dla siebie kwestji i nie ma poco wybierać się z powrotem nad Wisłę. Straciła tę zachodnią Słowiańszczyznę, wypędziła ją pod skrzydła germańskie i powiększyła zastępy swych wrogów na terenie wojennym — mówią jej dzisiaj Niemcy, korzystając z fatalnych błędów już nietylko militarnych, ale politycznych małodusznego Piotrogrodu, i dają jej dowód, że sprawę przegrała.

Czyż Rosja nie przerazi się przyjaźni polsko-niemieckiej? Czyż wobec tej akcji Berlina nie przewidzi nareszcie, nie uzna swych błędów w polityce polskiej, nie pojmie, że Polska jest jej ogromnie potrzebną — niezbędną jako okno na Europę?

Jeżeli Rosja straci nadzieję wydarcia Niemcom Warszawy orężem i zwątpi, aby zwycięstwo sojuszników na Zachodzie mogło jej wrócić moc nad zabranym dziś krajem polskim, mogłaby skłonić się do pertraktacji z Niemcami w sprawie polskiej czyli w sprawie pokoju.

Byłoby to istnym triumfem Berlina, życzeniem jego życzeń. Warto zaiste zrobić próbę — na której zresztą Niemcy w żadnym razie stracić nie mogą — i pokusić się o nagięcie Rosji do porozumienia się z Niemcami. Bo przez ten cios w serce Rosji zadałyby Niemcy cios w serce całej antigermańskiej krucjaty, rozbiłyby sojusz, może zmusiłyby wszystkich wrogów do pokoju.

Nie można wprawdzie przypuścić, aby Rosja miała się posunąć do kroku tak w skutki brzemiennego dla siebie, aby miała przycisnąć swych przyjaciół do muru i zmuszać ich pośrednio do zawarcia pokoju przez wzgląd na swój wyłączny interes. Nie jest to bardzo prawdopodobnem w tej chwili, ale nie wyklucza wcale nadziei. Są przecież w Rosji żywioły tęskniące do dawnej przyjaźni z Niemcami, żywioły o charakterze asłowiańskim, które fatalną dotknięte ślepotą i nieznajomością Prusaka nacechowane sądzą, iż »Rosja połączyłaby etnograficzne ziemie polskie jedynie na to, aby je stracić« (sic!) i nie pytając się ani, co dotąd miała Rosja ze swej Polski, ani co miećby mogła i co miałaby z pewnością z silnej, słowiańskiej Polski na ziemiach polskich królującej. Kto wie, czy wśród zniechęcenia do dalszej wojny w Rosji — o jakiem przebąkuje dziś prasa — żywioły te nie przyjdą do głosu?

Zresztą Niemcy okazałyby się w tym razie arcywspaniałomyślnemi; oddałyby dawnej, a zbłąkanej na wody angielskie, przyjaciółce wszystko: Kurlandję, Litwę i Polskę. Oddałyby nawet więcej — to, czego nie mają: cały Wschód z Konstantynopolem, zwłaszcza, gdyby Rosja zechciała odnowić przedwojenne traktaty handlowe z Niemcami. Kto wie, czy nie zgodziłyby się jeszcze w dodatku na zabór Lwowa, bo nie ulega wątpliwości, że bez wahania poświęciłyby Austro-Węgry i zgoła nicby je nie kosztowało dzisiaj rzucić Rosji Warszawę — to Królestwo

Polskie, jakie obiecują stworzyć po wojnie... ad usum delphini.

Zważywszy, z jak pełnym koszem darów berlińskich mogliby stanąć przed carem i narodem germanofile rosyjscy, przyznać trzeba, że Berlin mógłby żywić pewne nadzieje nagięcia Rosji do pokoju na własną rękę.

Ponad pogrzebaną Polską złączyłyby się znów dłonie Niemiec i Rosji, i Berlin, dziś tak srodze doświadczony, ślubowałby sobie na przyszłość trzymać się oburącz przykazania Bismarckowskiego i nie zadzierać z Rosją pod żadnym warunkiem.

Mutatis mutandis powtórzyłaby się historja dyplomatyczna drugiego rozbioru Polski. Wówczas, nakłoniwszy Rzeczpospolitą do zawarcia sojuszu z Prusami, rozgniewano na Polaków Rosję, z czego korzystając »dobry ojcowski« król pruski, zawarł układ z Rosją zdradziecko i doprowadził do podziału Polski. I teraz, gdyby Rosja przeraziła się przyjaźni polsko-niemieckiej, mogłaby Polska stać się okropną ofiarą polityki berlińskiej.

Narodowi polskiemu zagrażają dwa niebezpieczeństwa, nietylko chwilowe i przejściowe, ale trwałe, które, mojem zdaniem, każdy polityk nasz winien mieć zapisane w duszy i zawsze uświadomione przed oczyma, a mianowicie: 1) niebezpieczeństwo niemieckie — i 2) przyjaźń prusko-rosyjska.

Jednakże sądzić można, że Rosja poinformowana o istotnem usposobieniu szerokich

warstw ludności w Królestwie i obywateli skazanych na milczenie w niemieckiej Warszawie, nie przelęknie się festynów warszawskich z dnia 5 listopada i czołobitnych telegramów do Wilhelma II, panów Studnickich i spółki, nie opuści koalicji, nie przestanie bojów, które toczyć jej każe do końca i interes i honor. Zresztą niepodobna byłoby bodaj wyplątać się jakiemukolwiek mocarstwu wojującemu ze związków i szranków bojowych, w jakie raz wstąpiło; ani Austro-Węgry nie mogłyby już odseparować swej sprawy od Berlina, ani Rosja odłączyć swych interesów od losów koalicji.

Bądź jak bądź Niemcy z tej gry kanclerza wyniosą pewną korzyść. Za cenę obiecanki zyskają mniej lub więcej żołnierza polskiego, a gdyby losy im sprzyjały, po jakokolwiek zwycięskiej dla siebie wojnie, przyszłyby bez wątpienia do przekonania, iż... sprawę polską raz jeszcze należy wziąć należycie pod mikroskop. To znaczy, nie dotrzymałyby — nie po raz pierwszy — solennych zobowiązań; okazałoby się, że »manifest był zapowiedzią, ale jeszcze nie jej spełnieniem«, jak to już w tej chwili mówi pewien wielki organ niemiecki. Potwierdziłoby się to, co słyszałem z ust pewnego inteligenta pruskiego, że myszy łapie się na słoninę, a Polaków — na obiecanki«. Królestwo Polskie in partibus, spełniwszy swą rolę dla dobra króla pruskiego — zniknęłoby jak barwna bańka mydlana. »Der Moor hat seine Pflicht getan, der Moor kann gehen...«

W razie przegranej zaś Niemcy wyemilinowane z Królestwa, popsują Rosji i tak słaby kredyt w Polsce, dzięki temu, że ubiegły ją w oficjalnej deklaracji, wysunęły pierwsze sprawę polską niedwuznacznie na forum światowe, wymówiły pierwsze głośno z wyżyn tronu słowo: »Królestwo Polskie...« i objawiły dla żywiołu polskiego sympatję, którą tylu a tylu Polaków bierze łapczywie za szczerozłotą monetę. Skandaliczna nieznajomość Prusaka i rzeczy niemieckich u pewnych »polityków« polskich pozostałaby i nadal podkładem do tendencji germanofilskich nad Wisłą.

Jeżeli znaczna część narodu polskiego pójdzie teraz na lep tego miodu, sfabrykowanego przez dyplomatę pruskiego, i pośle tłumnie swych synów na boje pour le roi de Prusse, to Niemcy będą zacierać ręce z zadowolenia i z tego względu jeszcze, że Polacy popsują sobie kredyt wobec koalicji, zrażą sobie zwycięzców. Gdyby zaś koalicja skutkiem tego miała przy pertraktacjach pokojowych dać to odczuć narodowi polskiemu, obciąć postulaty nacji tej nie-słowiańskiej i czworoporozumieniu nieprzyjaznej, Polska odwróciłaby się od koalicji temwięcej i skierowałaby łzawe spojrzenie na dobry Berlin, który — on jeden — ujął ją obiecanką czyli, w języku germanofilów położył podwaliny do prawie niezależnego Królestwa Polskiego.

A Prusy, umywając ręce jak Piłat, odpowiedziałyby naiwnym swym wielbicielom i przy-

jaciołom nad Wisłą z łezką ubolewania: Chcieliśmy dla Polaków jaknajlepiej... My jedni daliśmy wam cudną niepodległość... Ale nie zwieszajcie głowy, liczcie i w przyszłości na przyjaźń pruską i trzymajcie się fałdy pruskiej... Bóg da, że jeszcze kiedyś poprowadzimy was przeciwko wspólnemu naszemu wrogowi: Rosji!...

W manifeście berlińskim upatrują manewr w pomyśle bardzo zręczny, Macchiaweloski, jakiego bodaj nie powstydziłby się nawet Bismarck, ale czy i pan Bethmann-Hollweg równie będzie zręcznym i śmiałym w przeprowadzeniu tej spekulacji na naiwności Polaków obliczonej? Bardzo wątpliwe...

Zresztą każdy czyn dostaje się w tryby olbrzymiej machiny, nad którą żaden człowiek, żaden mocarny mąż stanu nawet nie ma władzy. Więc nikt nie przewidzi, jakie ten akt berliński pociągnie za sobą skutki.

Niepodległość, wolność — są to słowa, które nigdzie nie brzmią tak czarowną muzyką, jak w duszy podległego, męczeńskiego narodu, co od stu lat tęskni za niepodległością, jak Pers do utraconego raju, żyje tą tęsknotą i żądzą serc wielu wzdycha do wolności.

Jeżeli wszakże nie ma paść na nas klątwa, jaką Pismo święte rzuciło na narody, oddające się pod komendę kobiet i dzieci, ujarzmić należy tę żądzę, uwolnić się od romantyzmu i sentymentalizowania zjawisk. A wtedy przyjdziemy do przekonania, że manifest berliński

nietylko nie wróży nam zgoła nic dobrego, lecz wystawia podstępnie nasz bon sens, nasz instykt samozachowawczy na wielką próbę, zawiera w sobie ukryte niemałe niebezpieczeństwo. Wszystko — jak powiedziałem już wyżej, — co ofiarowuje nam Prusak, jest trucizną, chociażby miało pozory słodyczy.

Gdyby po wojnie zabór austrjacki został przydzielonym do niemieckiego Królestwa Polskiego i Habsburg zasiadł na jego tronie, nie zmieniłoby to postaci rzeczy, nie poprawiło naszego położenia. Kto w oparciu o Austrję widzi zbawienie dla Polski, — chce opierać się o bezsilne, suchotnicze cielsko, nie dostrzega, że Austrja, to spróchniały gmach, który runąłby niechybnie natychmiast, gdyby nie wspierał się o potężne plecy Niemiec.

Zresztą w Austrji podniosłyby głowę żywioły germańskie, dumne zwycięstwem świata nad koalicją romańsko-słowiańsko-angielską — te same żywioły, które wyssały z Galicji złoto i krew, wywołały rzeź i podszczuwały Rusinów przeciwko wiernorządowym Polakom. Gospodarka ich, która doprowadziła do słynnej »nędzy galicyjskiej« poszła w niepamięć, wygasła we »wdzięcznych« za tę nędzę sercach, a mundur urzędniczy i toga profesorska nie pozwalały na rozpamiętywanie czasów hakatyzmu austrjackiego, bo nie zgadzało się to z austrjacką racją stanu, nie wypadało jakoś w kraju, gdzie panował wprawdzie język polski, ale duch austrjacki.

Otóż te żywioły, ad libitum depcące Słowian austrjackich, skupione u stóp tronu Wilhelma II, powiększałyby zastępy mrówek niemieckich, eksploatujących Królestwo Polskie i popierały jaknajgorliwiej politykę polską Berlina.

Niemcy panujące nad Wiedniem, panowałyby również nad Warszawą, chociażby pod względem prawopaństwowym przyczepioną do monarchji Habsburskiej. Czyż można bowiem przypuścić, aby Niemcy miały oddawać swoją a nie austrjacką zdobycz na wyłączny użytek tejże Austrji, wyratowanej przez siebie od zagłady? Czyliż Prusy, tak czujne, gdy chodzi o ich interes, miałyby nagle zapomnieć o swych żywotnich interesach w granicach »naturalnych swych granic«? Czyliż Warszawa nie jest placówką dla Prus arcyważną, stokroć ważniejszą niż dla Austrji? Czyliż wreszcie mógłby kto posądzić zwycięskiego Prusaka o brak apetytu na ziemię polską, o zanik zachłanności? Lub zgoła o niemoc w usiłowaniach germanizacyjnych?

Naród niemiecki zasłużył sobie raczej na wszystko inne, aniżeli na to, by go bagatelizowano i idealizowano, jak to właśnie czynią nasi germanofile wszelkich odcieni. Nie doceniają oni potencjalności jego w żywiołowej zaborczości, w swym »Drang nach Osten«, potencjalności, która jest tak ogromną, jak ogromną jest potęga jego zewnętrzna i wewnętrzna, jaką rozwija w tych olbrzymich bojach o życie.

Kto tę zdumiewającą moc Germanji rzeczywiście ocenia i uznaje, zadrży w posadach na myśl o hegemonji niemieckiej nad Wisłą. W idei niemieckiej ujrzy widmo zagłady.

Nawet maksimum tego, co w najlepszym dla nas razie Niemcy mogą ofiarować, a w tej chwili obiecują narodowi polskiemu, nie jest rozwiązaniem sprawy polskiej, nie zapewnia nam znośnych warunków rozwojowych. Przeciwnie jest parodją rozstrzygnięcia kwestji polskiej i — wielkiem złem.

Albowiem interesy niemieckie i polskie wykluczają się wzajemnie jak ogień i woda. I na to polityka nie znajdzie środka zaradczego, dopóki Prusy będą ośrodkiem i osią Rzeszy Niemieckiej, dopóki świat nie wejdzie na inne tory i dopóki Niemiec nie przekształci się tak fundamentalnie, że go rodzona matka nie pozna.

Natomiast interesy polskie schodzą się, właśnie obecnie, z interesami Rosji i koalicji zgodnie. Dlatego mocarstwa te mogą nietylko bez uszczerbku dla siebie, ale z niemałą, pozytywną, lubo nie dość rozpoznaną, korzyścią zaspokoić kardynalne postulaty narodowe Polaków, dać nam naturalną, zdrową podwalinę do odrodzenia, uszczęśliwić naród polski.

Nawet minimum tego, co musiałyby przyznać narodowi polskiemu zwycięska Rosja i koalicja, na skutek takiego, a nie innego położenia rzeczy polskich, byłoby o całe niebo korzystniejszem niż maksimum tego, co

mogłyby nam ofiarować, a co obecnie obiecują Niemcy.

Minimum to — połączenie etnograficznych ziem polskich — jest kwestją o wiele ważniejszą aniżeli kwestja niepodległości, zresztą złudnej i pozornej i smutnej parodji Królestwa Polskiego. Konstytucja polityczna może rozwinąć się i rozrość w czasie pokoju, tymczasem kiedy mogłoby przyjść do skutku zjednoczenie Polski, gdyby obecna wojna go nie przyniosła?...

Minimum to nie byłoby zawisłem od dobrej woli lub łaski mocarstw koalicyjnych, lecz poprostu konsekwencją pogromu Prus, do jakiego dąży krucjata antimilitarna. A to minimum mogłoby być czemś bardzo wielkiem dla narodu pracowitego, rozumnego i dzielnego, i, gdyby wojna ta nie przyniosła nam nic więcej ponad to, moglibyśmy już błogosławić ją w skutkach i — dorabiać się, już teraz o własnej sile, godnego siebie stanowiska.

Niewątpliwie zjednoczeni, odrodzeni na duchu, wyposażeni w dostęp do morza a uwolnieni od naporu i zmory żywiołu niemieckiego, stalibyśmy się organizmem tak poważnym, że wszelkie — już nieprawdopodobne — zakusy rusyfikacyjne rozbiłyby się o opokę polskości. Rosja, która nie wytępiła, nie złamała kilkunastu miljonów Polaków, nie śmiałaby chyba nawet pokusić się o to, próbować niewczesnych takich eksperymentów na dwudziestu miljonach. Z taką cyfrą, z tak zwartem i solidnem ciałem

narodowem musiałaby się koniecznie liczyć Rosja i — nietylko Rosja.

Czyż narodowi kulturalnemu, rozrodczemu i pełnemu rozkiełznanej woli życia, który rozpościera się od Tatr do Bałtyku, możnaby nie nadać daleko idącego samorządu? Byłoby to krzyczącą anomalją, która niebawem ustąpiłaby pod wolą dwudziestomiljonowego, zdeterminowanego narodu, jakiego zignorować nie można

Czyliż podobno pozbawić samorządu całkowitego naród, któremu nieprzyjaciele stawili w perspektywie autonomję i koronę, i tak odstręczyć go, odepchnąć od siebie? Wprawdzie Rosja nie może zawsze jeszcze pojąć, że rozbrat jej z Niemcami pociąga konieczność nowej orjentacji w sprawie polskiej, że — jak mówi wielki znawca Rosji Roman Dmowski — »od stosunku jej do kwestji polskiej zależy w znacznej mierze własna jej przyszłość«, ale chyba rozjaśnią jej nieco pogląd na tę sprawę — Niemcy, które tylko dzięki jej bezrozumnemu i lekkomyślnemu traktowaniu tej kwestji, mącą dziś wodę, zastawiają sidła na Polaków, spekulują na ich naiwność i zdobywają sobie żołnierza.

Dyplomacja berlińska wyłoży jej chyba w końcu, że lepiej mieć przy boku silną słowiańską Polskę aniżeli niemiecką prowincję. Ponieważ nawet niedołęstwo polityki Piotrogrodzkiej w sprawie polskiej musi mieć swój kres, więc przypuszczać można, iż wreszcie przyjdzie nad Newą do głosu dyplomata, który

pouczy Rosję, że tylko ze słowiańską Polską przy sobie może ona utrzymać się na dotychczasowem swem stanowisku mocarstwowem w koncercie europejskim, że poprzez to »okno na Europę« może brać udział i grać pewną rolę w tej części świata, a bez Polski uroniłaby w oczach Anglji i Francji tyle, że odbijałoby się to fatalnie na niej w przyszłości pod każdym względem, między innemi na jej — finansach. Wreszcie i to może raczy zrozumieć zaspany niedźwiedź północy, że bez Polski silnej, zadowolonej i przyjaznej Rosji nie może zgoła marzyć o Bosforze...

Na wzór Bismarckowskiego, wyżej wzmiankowanego aforyzmu: »Z Polską za plecami Niemcy nie mogłyby utrzymać linji Renu« można dla użytku Rosji wypisać: Bez Polski przyjaznej Rosja nie mogłaby przyjść do percepcji na Bałkanach.

Rosja, która w walce z Niemcami pozwoliła sobie wydrzeć Warszawę i na domiar odstręczyła naród polski od Słowiańszczyzny — Rosja skompromitowana w oczach Słowian południowych fatalnemi skutkami swej polityki polskiej oraz niepowodzeniami oręża, postradałaby na Bałkanach resztę wpływów, zwłaszcza, że i tak smutne doświadczenia bohaterskiej Serbji odbiły się odpowiednio na jej prestige'u.

A nad Bosforem spotkałaby się z konkurencją zabiegliwych Niemiec we wszystkich dziedzinach. Posiadając w maltretowanej Polsce cichego spólnika, jakiego nie miały przed wojną,

Niemcy mogłyby zagrażać Rosji podminowywaniem, wnosić ferment i niepokój i groźbą tą paraliżować jej akcję w Turcji a zyskiwać i tam swobodę ruchów. Wpływy Rosji w Konstantynopolu spadłyby do zera, gdyby Niemcy posiadały w »Królestwie Polskiem« ekspozyturę swych interesów i swoją prowincję.

Lekcję na temat wspólności interesów polsko-rosyjskich dadzą Rosji prócz Niemiec także Anglja i Francja, i to we własnym interesie. Chcąc ubezpieczyć się przeciwko Prusom na przyszłość, nie wypuszczą z rąk kwestji wschodniego pogranicza ich, nie pozostawią jej na łaskę lub niełaskę Rosji. Za dotychczasową swą niedbałość pod tym względem odpokutowały w czasie wojny. Jakoż chodzić im będzie tem więcej o to, by w narodzie polskim mieć dzielną strażnicę przy słupach granicznych Germanji, mieć naród przyjazny, silny, posiadający wszystkie warunki życiowe, a nie cielsko źle rządzone i oscylujące między Wiedniem a Berlinem. Tem więcej przestrzegać będą, by Rosja w jakim bezmyślnym paroksyźmie ślepej a bezsilnej zachłanności nie popadła w dalsze błędy, nie wszczęła waśni, nie tamowała życia tej strażnicy pogranicznej, nie osłabiała siebie i naturalnych swych sojuszników, nie popychała ich w otchłań niemczyzny.

I jeszcze z innej ważnej przyczyny Anglja nie pozwoli usunąć się pod żadnym warunkiem od udziału w rozwikłaniu sprawy polskiej.

Po zwycięskiej wojnie, po upadku Prus każdy angielski mąż stanu przewidziećby musiał ewentualność scysji dyplomatycznej między Rosją a Anglją. W takim zaś wypadku mogłoby być dla W. Brytanji rzeczą bardzo pożądaną, gdyby w sferze imperjum cara miała samoistny, odrębny kulturalnie i historycznie a silny naród, który, zawdzięczając jej wiele i spozierając ku niej przyjaźnie, jako ku mocarstwu gwarantującemu przyznane mu swobody, stanąłby po jej stronie, dał się pewnego razu zużytkować w łonie Rosji samej do celów angielskich. Polska miałaby dla Anglji tak wielką doniosłość, że nie można posądzić żadnego ministra przy Downingstreet, by nie miał się tego dopatrzeć.

Gdyby z tego powodu przyjść miało nawet do sporów z Piotrogrodem, Anglja nie cofnie się chyba przed tem na kongresie pokojowym, gdyż wówczas nic już zniewalać jej nie będzie do tak skrupulatnego jak dzisiaj przestrzegania harmonji w łonie koalicji. Tuż za Rosją przeto stanęłyby na straży naszych interesów mocarstwa Zachodu.

Najlepiej zaś przemawia za nami fakt, że rozbrat z Niemcami popycha Rosję konsekwentnie do porozumienia z Polską.

A zatem zwycięstwo koalicji przyniosłoby nam wiele więcej aniżeli tout court zjednoczenie ziem polskich, będące jedynie solidnym fundamentem nowej Polski.

Walcząc przeciwko duchowi militaryzmu i zachłanności, koalicja walczy przeciwko Prusom, a nie mogłaby niczem osłabić ich więcej jak wyrwaniem z ciała Prus dzielnic polskich. Uwolniłoby to nas zatem w znacznej mierze od grozy niebezpieczeństwa germańskiego, a jednocześnie oddawało cenne ziemie piastowskie z przystępem do morza — ziemie, które w razie zwycięstwa Niemiec uważać trzeba za definitywnie dla polskości stracone. Takiej bolesnej i dotkliwej straty nic zgoła skompensowaćby nie mogło; za utratę przystępu do morza nie byłby nagrodą Lwów, oblężony przez wrogi żywioł rusiński, za ziemie oryginalnie i przeważnie polskie nie byłyby ekwiwalentem kraje oryginalnie i przeważnie rusińskie i litewskie, zwłaszcza w epoce potężnego nacjonalizmu.

Zjednoczenie ziem polskich uratowałoby miljony Polaków od topieli w morzu niemieckiem i położyło kres rozdarciu narodu, jakie zaprowadziło do dzisiejszego rozbratu, niemal do wyodrębnienia się na trzy kategorje. Że w podziale Polski tkwi główna przyczyna słabości narodu, że w nim leży największa krzywda, jaką nam wyrządzono, rozumieli nasi przodkowie. Tymczasem dla bardzo wielu dzisiejszych połączenie ziem polskich nie posiada powabu, w czem nowy dowód, jak głębokim stał się rozłam między zaborami polskiemi.

Wielu »polityków« zrzeka się Wielkopolski, nie wiedząc, czego zrzekają się — za obiecankę. »Poznańskie i tak zniemczone« mówią Gali-

cjanie, sami nawskroś zaustrjaczeni, a natomiast nie mogą pogodzić się z myślą o ewentualnem wcieleniu Rusi i Litwy w państwo rosyjskie, — co nie pociągnęłoby ze sobą zagłady polskości w tych krajach ani ujmy w naszym stanie posiadania — gdyż troska o Lwów ma także swe uzasadnienie w Austrji. Od Rosji żądają oni wszystkiego i jeszcze trochę więcej ponad to, a od Niemiec, przyjaciół Austrji, nie żądają niczego.

Wielkie, szumne słowo: »Królestwo Polskie«, lubo od łaski pruskiej zawisłe, wydaje się im czemś pożądańszem od bardzo realnego ale skromnie brzmiącego »zjednoczenia ziem polskich«, które eo ipso przypadłoby nam ze strony zwycięskiej koalicji. Olśnieni barwną a mglistą malaturą, rozpiętą przez Berlin na nieuchwytnym ekranie, politycy ci rzucają się w zdradliwe wody przyjaźni pruskiej, na której, jak świat światem, nikt jeszcze dobrze nie wyszedł prócz — Prusaków samych.

Nie o to chodzi, co nam kto daje, lecz raczej o to, kto nam coś daje.

* * *

O świcie swego odrodzenia państwowego naród polski staje na rozstajnych drogach.

Lecz, skoro ujrzymy wiszący nad nami krzyżacki miecz idei niemieckiej, nadzieje nasze instynktownie zwrócą się ku koalicji antipruskiej, jako ku naturalnemu sprzymierzeńcowi. Bo tylko na gruzach Prus odrodzić się może orzeł biały.

Niemiec, stokroć dla nas niebezpieczniejszy od Rosjanina, nie może żadną miarą rozwiązać godziwie kwestji polskiej, stworzyć dla nas zdrowych podstaw bytowania państwowego. Na szlaku berlińskim czyha na nas dzisiaj podstęp, jutro byłaby zagłada. Zresztą przez fatalne położenie geograficzne skazani jesteśmy na wieczyste sąsiedztwo z tym knechtem wśród narodów, z którym »niema kompromisu«, gdyż »konieczność dziejowa i rasowy fatalizm« sprawiają, że jak pijawka może on żyć tylko krwią słowiańską.

A o własnej sile powstać nie może niewolnik. I, skoro podniesie się on z upadku, istotna całkowita niepodległość pozostanie dlań jeszcze w sferze marzeń. Nie może być o tem mowy, aby noworodek państwowy mógł żyć normalnem życiem i ostać się bez oparcia się o wielkie mocarstwo. Oczywiście nie wchodzą tu już w rachubę jakieś mocarstwa za dziesiątą granicą, lecz tylko państwa ościenne, a raczej wyłącznie Rosja.

Oparcia o Rosję Polska nie mogłaby uniknąć nawet w razie najlepszym — albo raczej pozornie najlepszym, t. j. gdyby sięgała od Tatr do Bałtyku, własnego posiadała króla i zajmowała samodzielne, wydatne miejsce w zespole państw europejskich, gdyż młody organizm państwowy potencjalnie i mocarstwowo nie dorównywałby groźnym sąsiadom, aczkolwiek przez wojnę strasznie wyczerpanym i zrazu niemocą złożonym.

Gdyby Polska nie umiała zbudować absolutnie koniecznego mostu do zgody z Rosją, nie stanęła przy jej boku silnie, jawnie i szczerze, wkrótce naraziłaby swe istnienie na ogromne niebezpieczeństwo, wykrzesała widmo — czwartego rozbioru Polski.

Już wszelkie zakusy w kierunku utrzymania się na stanowisku niezawisłem na obie strony odbiłyby się sromotnie na kraju. Powtórzyłyby się bowiem czasy przedrozbiorowe, czasy okropnej a beznadziejnej szarpaniny i udręki duchowej dławionego narodu, czasy rozkładu i upadku moralności w życiu publicznem.

Jutrzejsza Polska będzie ciężarem, przeważającym w znacznej mierze szalę potęgi na stronę jednego z sąsiadów, będzie dla jednego z nich innym puklerzem. Więc gdy otworzy się możność, mocarstwa te ubiegać się będą o jej względy, w czem leżałoby dla Polski źródło pewnych drobnych, pozornych korzyści, ale jednocześnie źródło ogromnego niebezpieczeństwa. Berlin zorjentował się już teraz; wątpić nie można, iż dzisiejsze jego niezgrabne umizgi są pierwszym i wcale nie ostatnim jego krokiem na tej drodze politycznej a zarazem — pierwszym objawem zmiany sytuacji politycznej narodu polskiego oraz świtem jego odrodzenia państwowego.

A zatem Polska, upierająca się przy — zawsze tylko pozornej — niezawisłości na obie strony, stałaby się znów terenem namiętnej rywalizacji państw ościennych. W następstwie

rozpadałaby się wewnętrznie na trzy obozy, z których jeden słuchałby podszeptów i brał rozkazy z Berlina, drugi z Piotrogrodu, a trzeci zwalczał oba te nurtujące prądy. Walki te pochłaniałyby lwią część energji duchowej narodu, który tymczasem wszystkie swe siły zestrzelić winien w pracy organicznej, spokojnej i intensywnej nad budowaniem nowej Polski.

Przecież nie zastaniemy zaiste Polski jakby pałacu gotowego na przyjęcie króla lub prezydenta. Wszystko, co wyłoni się dla nas z morza krwi i pieczary nieszczęść naszych, musimy wpierw dopiero — zdobyć sobie, aby istotnie posieść...

Tymczasem, kołacząc się między Scyllą a Charybdą, niemowlęca Polska nie zdołałaby wyrość na silnego młodzieńca. Położenie jej, tak nad wyraz trudne, wymagałoby od nierutynowanych Polaków nadludzkiej zręczności politycznej, przypuszczalnie bezpłodnej, bo jedynie utrzymanie się przy życiu przynoszącej. Gdyby zaś Polska, chcąc korzystać z ewentualnego sporu między Rosją a Niemcami, przechyliła się na jednę lub drugą stronę, sprawdziłaby się na niej stara prawda polityczna, która opiewa, że słaby, który w waśni silniejszych występuje czynnie, niechybnie po ich pojednaniu pada ofiarą obu.

Raz sprawdziła się na nas bajka i wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły. Nauczeni tak strasznem doświadczeniem, winniśmy wejść teraz w układ z — psem, mniej niebezpiecznym, rasowo bliższym i zapewniającym po-

zytywne, ogromne korzyści państwowe i ekonomiczne. Musimy oprzeć się o Rosję, lub o Słowiańszczyznę.

Niema innej prostej linji wytycznej dla polityki polskiej.

Nie żyjąc z Rosją w zgodzie, bylibyśmy z nią w niezgodzie, a zaprawdę nie stać nas na dwóch możnych nieprzyjaciół, i to u słupów granicznych. A nieprzyjaciółmi, lubo w maskach najlepszych przyjaciół, byłyby w tym razie oba te mocarstwa, poprostu skutkiem egoizmu narodowego, kierującego sterem państw. Przyjaciółką stałaby się Rosja jedynie wtenczas, gdy Polska silna i imponująca wejdzie z nią w spółkę gdy pewną będzie płynących dla niej z tej spółki korzyści.

A lekceważyć Rosji żadną miarą nie można, aczkolwiek nie zagraża nam tak, jak Niemcy. Za bagatelizowanie Rosji odbierają teraz Niemcy surową karę. Jest to bowiem kolos groźny już dzięki swemu ogromowi; można go wprawdzie pobić, ale nie — zwyciężyć. Armje niemieckie zajęły olbrzymie przestrzenie rosyjskie, a nie wdarły się jeszcze w ciało iście rosyjskie i nie wiedzą, gdzie serce, gdzie pięta Achillesowa Rosji. Stają jakby w obliczu fatum.

Przed tym kolosem Bismarck miał głęboki respekt. »Nie przypuszczam, abym kiedykolwiek stał się nieprzyjacielem Rosji,« mówił nad Newą w kilka lat po Sedanie. Nie przeszkadzało mu to bynajmniej wypłatać zasuggestjonowanej przez niego Rosji fatalnego figla, oskubać ją

z plonów zwycięstwa nad Turcją, upokorzyć ją poniekąd traktatem berlińskim i jednocześnie urządzić swe afery na Wschodzie na daleką metę, ale Prusak wobec Rosji, jeden autokrata wobec drugiego, mógł sobie pozwolić bardzo wiele, zwłaszcza, że w łonie Rosji miał złam swoich ludzi. Mimo wszystko Bismarck głaskał zawsze miękką ręką niedźwiedzia północy, zawierał z nim cichaczem układy za plecami Austrji, zabezpieczał się przeciwko kolosowi i przestrogę przed nim przekazał w spuściźnie Berlinowi. Rozumiał on snać, że w walce z nim można wyczerpać się do dna, można »sich totsiegen« — wyzionąć ducha na wawrzynach i zdobytych sztandarach. A kolos zostanie na placu.

Z tego i dla nas nauka od Bismarcka, albowiem jutrzejsze państwo polskie byłoby w stosunku do Rosji w identycznem położeniu geograficznem, co wczorajsze Prusy.

W tej chwili, gdy przerwały się węzły przyjaźni niemiecko-rosyjskiej i nowy świat ma wyłonić się z odmętów, wynurza się konieczność nowej orjentacji dla Polski i Rosji tak samo jak dla Niemiec, — wynurza się konieczność jawnego, szczerego i silnego porozumienia polsko-rosyjskiego, będącego conditio sine qua non normalnego życia Polski.

Nie rozumie tego jeszcze Rosja i szarpie się w pętach zagadnienia polskiego, chociaż Niemcy i na tem polu pobiły ją dotkliwie. I nie rozumie tego jeszcze Polak, głęboko w sercu nosząc pamięć sybiryjskiej katorgi. Nic dziwnego,

gdyż jest to idea nowa, o tyle, iż teraz dopiero nabiera pełnej aktualności.

Od zobopólnego zrozumienia tej idei i przystosowania się do niej zawisła przyszłość Polski i Rosji.

Przeciw temu buntuje się w nas uczucie; tłum, unoszący się na fali uczuć, wprowadza pierwiastek ten niepokojący i fantastyczny w zimną, bezwzględną, niejako bankierską sferę polityki. Każe nam koniecznie kochać każdego, z którym zawieramy traktat handlowy, i dlatego wzdryga się przed spółką z Rosją, chociaż zawierałby ją równy z równym.

Zapewne ulegnie to uczucie zmianie, skoro czynownik na dobre pocznie świecić w Warszawie miłą swą nieobecnością, skoro zniknie zdradziecka pickelhauba, gdy zbudzimy się do życia nowego i staniemy sami u steru naszych spraw. Wtedy, z natury rzeczy, poczniemy myśleć już nie wyłącznie sercem, lecz także przecież głową, i pojmiemy, że trzeba nam znaleźć drogę do porozumienia z tym narodem, który bądź co bądź nie nosi i nosić nie może w piersi rasowej pogardy i nienawiści Słowian, nie przeciwstawia naszemu żywiołowi wrogiej idei, a przynosi mu poważne korzyści — oczywiste.

Oba te narody potrzebują się wzajemnie, albo raczej powiedzmy słowiański wschód Europy wskazany jest na pewne zespolenie się, jeśli ma czoło stawić naporowi fali germańskiej pod względem handlowym i gospodarczym i wszelakim innym.

Gdy Słowianie zrozumieją to, wybije ich triumfalna godzina.

Mam głębokie przekonanie, że o skałę angielskiego charakteru rozbije się wielkość Niemiec na miazgę, że, jak chce Poincaré, Niemcy prosić będą o pokój na klęczkach i nastanie zmierzch Germanji, lecz do ziemi ją przygwoździć i unieszkodliwić może tylko idea słowiańska.

Pod jej stopą skurczy się ona jak szatan pod stopą archanioła.

KONIEC.

W listopadzie 1916.

KSIĘGARNIA S

POZNAŃ — WA

Plac Wolności 1. — Aleja J

Choiński-Jeske, T. Psycholo... Str. 106.
— Psychologja rewolucji francuskiej. Str. 153.

Gawroński-Rawita, Fr. Konfederacja narodu polskiego w roku 1876. Str. XII + 253.

Halban, L. Dr. Zasady społeczne Nowego Kodeksu Prawa Kościelnego. Próba syntezy. Str. 88.

Hoesick, F. Warszawa. Luźne kartki z przeszłości syreniego grodu. Str. 428.

Jarochowski, K. Opowiadania i studja historyczne. Serja nowa. Str. 413.
— Z czasów saskich spraw wewnętrznych, polityki i wojny. Str. 544.

Koneczny, F. Polskie Logos a Ethos. Roztrząsanie o znaczeniu i celu Polski. 2 tomy. Str. 315 + 308.

Koperska, A. Dr. Zasady polityki chrześcijańskiej. Str. 137.

Kursa społeczne. Praca zbiorowa. Str. 290.

Ludkiewicz, Z. Prof. Polityka agrarna. Wydanie czwarte zmienione i rozszerzone. Praca polecona przez główny urząd ziemski podwładnym mu urzędom i urzędnikom. Str. XVI + 598.

Morawski, Z. Św. Karol Boromeusz na tle odrodzenia religijnego w XVI wieku. Str. 136.

Massonius, M. Prof. O bolszewictwie. Str. 77.

Rose, A. Kwestja robotników rolnych ze szczególnem uwzględnieniem stosunków wielkopolskich. Str. 157.

Solf, F. E. Odwet Niemiec czyli wojna 1934 r. Opowieść z przedmową pułkownika Bauera. Przetłumaczył i słowem wstępnem zaopatrzył Maciej R. Wierzbiński. Str. 96.

Szmańda, J. Polska myśl polityczna w zaborze pruskim od rozbiorów do r. 1863. Próba syntezy historycznej. Str. 208.

Szymański, A. Ks. Dr. Bolszewizm. Str. 90.
— Studja i szkice społeczne. Str. 246.

Wóycicki, A. Ks. Dr. Chrześcijański ruch robotniczy w Polsce. Monografja społeczna. Str. 204.

Zimmermann, K. Ks. Fryderyk Wielki i jego kolonizacja rolna na ziemiach polskich. 2 tomy. Z mapami kolorowemi i 11 tablicami rycin. Str. XX + 398 + XII + 496.

MCMXXII.